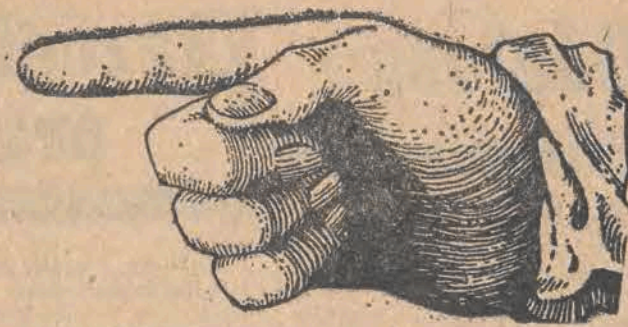


- Kijów - 7 listopada 1986 r. — str. 10
- Portret zbrodniarza „Gibona” — str. 5
- Muzeum, w którym robią papier toaletowy — str. 4
- Tajemnice milionera — str. 7



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 46 (1494) ROK XXIX

15 LISTOPADA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

„Boruta” nad Zgierzem

WŁODZIMIERZ KUPISZ



Foto: Witold Werner

Czego nie zalał beton

RYSZARD BINKOWSKI

Ta wąska ulica, zwana Sztormową, ma tyle wspólnego ze sztormem, co wodospad Niagara z szumem wody w łazience na dziesiętym piętrze wieżowca. Jedyną chybą, co może kojarzyć się z jej nazwą, to fakt, że skutecznie oparła się sztormowi budowlanemu i zalewie betonu. Ale nie cała, bo dalej, już w szczyrim polu, gdzie dołączają do niej uliczki o bajkowych nazwach: Czerwonego Kapturka, Jasia i Małgosi, Andersena, Kubusia Puchatka, króluje niepodzielnie budownictwo mieszkaniowe, tyle że niskie.

Fragment ulicy Sztormowej od strony Obywatelskiej przypomina po trosze skansen. Wlejska oaza pośród miasta, wieś, której nie wchłonął jeszcze moloeh. Wyłożona betonową płytą, z latarniami ginącymi w gałęziach drzew, ulica jest tak wąska, iż nie wyróżnia się na niej dwa samochody osobowe. Od torów kolejowych oddziela ją pas wysokiego, gęstego żywopłotu, który tłumi łoskot przejeżdżających pociągów.

Z drugiej strony teren nieco opada i tam kryją się w cieniu akacji, brzoź, olszyn relikty chłopskich zagrod. Ogródki, drzewka owocowe, krzewy, resztki stodoł. Pomiedzy nogami siupa wysokiego napięcia, co jak intruz wlaży do cudzego ogródka, gęgają zabrudzone gęsi. Słychać pianie kogutów, gdańskie kur, naszczekiwanie psów podwórzowych, jak na wsi...

Obejście pod numerem dziesiętym przesłonięte drzewami. W cieniu jakiś blaszany garaż, w nim coś w rodzaju oficyny, z kominem w tylnej ścianie, ale na wysokich suterrenach. Dalej drewniana brama i furtka.

Odmykam skrzypiącą furtkę i wchodzę na podwórze. Na wprost typowo wiejski domek pod dwuspadowym, krytym dachówką dachem, z dwoma ganekami ze spiczastymi daszkami. Gdzieś w głębi podwórza odzywa się niezbyt agresywnie czarny kundel. W tym domu mieszkał przez dziesiątki lat senator Franciszek Płoczek. Wchodzę do pierwszego ganku i gdy chwycę

tam za kłamkę kuchennych drzwi, dopęda mnie niska kobieta w chustce na głowie. Pytam o Gabriela Płocka. Wyjaśnia uprzejmie, że to drugie wejście.

Ale te drugie drzwi są zamknięte. Rozglądam się wokół bezradnie, obszczekiwany przez czarne, bliźniaczo podobne kundły, których są trzy lub cztery. Z wysokiego ganku tej niby oficyny schodzi młody, szczupły chłopak, w samym podkoszulku. Październikowe południe jest ciepłe, słoneczne, na podwórzu nie wdziera się wiatr. Kiedy wyłuszczam mu cel wizyty, mówi:

— W porządku. Zaraz zawołam ojca. — I rusza za dom.

Rozglądam się po klasnym podwórzu. Stodoła z drewnianą garbią się już ze starości. Przy kucpe węgla stoi nowy mały fiat, a obok szczyt techniki sprzed wieku — młynek do czyszczenia zboża z plew, taka drewniana wialnia z zardzewiałą korbą.

Przychodzi Gabriel Płoczek. Wysoki, szczupły, w okularach z grubymi szklami, za którymi

jego oczy wydają się ciemne i ogromne, a są małe, szaroniebieskie. Rzadkie siwe włosy nad wysokim czołem, nleco młsiasty nos i duże, spracowane dłonie. Ma na sobie szare spodnie, niebieski bezrękawnik i rozpiętą koszulę w zielone pasy. Gdy przedstawiam się, mówi, że owszem, czytał to i owo w „Odgłosach”, wymienia nawet ludzi z branży rolniczej, o których nlegdys pisałem. Wchodzę do przedsiionka, gdzie wieszam płaszcz na wieszaku. Peczniej wprost z dumy, bo na Retkini jestem tak znany jak nasz redakcyjny globtroter w Ameryce lub na ulicach Madrytu.

Pokój jest obszerny, zalany słonecznym blaskiem, z ciemnymi meblami i eleganckim dywanem. Gabriel Płoczek myje w kuchni ręce.

— Siedziałem tulipany — mówi przez drzwi. — Teraz to ja się ruszam, proszę pana, ale po drugim zawale łazilem jak robot. A najgorsze, że przez dwa lata nie mogłem czytać. Miałem zaćmę. Właśnie to ja mam tylko jedno oko. No, ale na dniach dostanę nowe okulary...

Siada za stołem, czeka na pytania.

— Słyszałem, że pański ojciec był senatorem — rzucam na początek.

Wyciąga z półki pod telewizorem przedwojenny album. Jest tam zdjęcie Franciszka Płocka, przystojnego mężczyzny z ogromnymi wąsami. Zyciorys,

Pierwszy ślad pojawił się w klinice chirurgicznej WAM. Pacjent opowiadał o zagrożeniu zdrowia, a nawet życia zatrudnionych w Zakładach Przemysłu Barwników „Boruta” w Zgierz. Chodziło mu o benzydynę, z którą dłuższy kontakt może skończyć się nowotworem. Twierdził, że robotników z „Boruty” łatwo rozpoznać w tłumie z powodu specyficznej barwy skóry. Jako podstawową formę profilaktyki stosuje się zasadę, że człowiek na zagrożonym stanowisku roboczym nie może przebywać dłużej niż 5 lat.

Zakłady Przemysłu Barwników „Boruta” do tej pory nie rozwiązały gospodarki odpadami przemysłowymi. Jadąc szosą wylotową ze Zgierza w kierunku Aleksandrowa Łódzkiego łatwo dostrzec nad Bzurą — na lewo od pobocza — znajdujące się na terenie fabrycznym wysypisko śmieci. Stanowi ono — wobec bezpośredniego sąsiedztwa zabudowań — zagrożenie dla mieszkańców i pracowników, ponieważ nie jest rekultywowana.

NIKT NIE BADA POZIOMU SKAŻEN

Środowiska w tym miejscu. Nie jest tajemnicą, że wyrzucane są tu truciizny, które nawet w minimalnych ilościach stanowią niebezpieczeństwo dla zdrowia. Przez fatalny układ wiatrów lada podmuch przenosi skażone powietrze w kierunku gęsto zabudowanych rejonów Zgierza.

Zle też jest z badaniami skażeń wewnątrz fabryki. Dokonuje się ich w niewystarczającym zakresie, choć zajmują się nimi: terenowa stacja sanepidu oraz zakładowe laboratorium. Jeśli chodzi o stację to nie ma obowiązku przeprowadzania kompleksowych badań, zwłaszcza iż nie jest do tego przygotowana pod względem technicznym.

Wycinkowe kontrole dokonane przez sanepid ujawniły m.in. stężenie trójtlenku siarki na wydziale h-kwasu 2, 3-krotnie przekraczające normę, natomiast aż 6-krotnie beta-naftolu (półprodukt do wytwarzania farb) na wydziale barwników różnych. Liczby te oraz stwierdzenie, że „Boruta” jest zakładem, gdzie z braku typowych urządzeń technicznych bądź technologicznych, nie jest w stanie sama zlikwidować istniejącego zagrożenia — zostały zaprezentowane 28 kwietnia 1986 r. na posiedzeniu Komisji Ochrony Środowiska, Zdrowia i Opieki Społecznej RM PRON. Informację przedstawił lekarz Oktawian Dynowski, terenowy inspektor sanitarny, wchodzący w skład prezydium RM PRON w Zgierz.

16 czerwca 1986 r. odbyła się wspólna sesja MRN i PRON, na którą prezydent Włodzimierz Orczykowski przygotował raport o realizacji postulatów i planów. Najwięcej miejsca w tym dokumencie i czasu w dyskusji, poświęcono stanowi i zamierzeniom w sprawie poprawy ochrony środowiska.

Prezydent Zgierza podał, że w „Borucie” znajduje się 150 emitorów skażeń, głównie niskich (co sugerowałoby, że mniej szkodliwych) opadające zanieczyszczenia stwierdzono zarówno na terenie fabrycznym jak i w strefie ochronnej: dokładnie 1 km od murów fabrycznych co razem czyni 20 proc. powierzchni miasta. W 1983 r. przebudowano urządzenia absorbujące tlenki azotu i dwutlenek siarki na wydziale kwasu HCO, co pozwoliło zmniejszyć ich emisję o 30 proc. W 2 lata później uruchomiono urządzenia pochłaniające siarkowodór przy produkcji barwników siarkowych, co ograniczyło jego emisję o 90 proc. W 1983 r. zainstalowano 5 automatycznych punktów pomiaru zanieczyszczeń powietrza w strefie ochronnej oraz 1 na terenie zakładów.

Prezydent Włodzimierz Orczykowski podkreślił, że w strefie ochronnej nie powinni mieszkać ludzie. Mogłyby tu być parkingi, garaże i tym podobna infrastruktura. Brakuje jednak pieniędzy na przeprowadzenie tego typu zmian.

Wśród ciekawszych głosów w dyskusji, warto przytoczyć wystąpienie Andrzeja Piaskowskiego, który powiedział, że stężenie pyłów nad miastem 4-krotnie przewyższa normę, a są rejon o jeszcze większym stężeniu zanieczyszczeń. Zakładowe wysypisko odpadów poprodukcyjnych jest przepełnione.

Maciej Wierzbowski zauważył, że zanieczyszczenia spowodowane przez „Borutę” zmniejszyły się tylko dlatego, że drastycznie spadła produkcja. Mimo to — według danych „Przeglądu Technicznego” — ZPB „Boruta” znajduje się na 12 pozycji listy największych trucieli w Polsce.

W opinii dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii UML: Jana Diehla — od 7 lat nie ma w „Borucie” przekroczeń norm emisji. „Boruta” jest przedsiębiorstwem, które dla poprawy środowiska zrobiło bardzo wiele. Stanowisko to nie wytrzymuje jednak krytyki, gdy spojrzeć na mapę zanieczyszczeń, na której teren „Boruty” należy do 3 najczystszych i najniebezpieczniejszych rejonów skażeń, choć gwoił prawdy — największym zgierskim trucieliem są Zakłady Urządzeń i Elementów Technicznych.

Na wspólnym posiedzeniu MRN i PRON nie padło ani jedno słowo o przyczynach powstawania nowotworów pęcherza moczowego...

Podczas naszej rozmowy dyrektor Zespołu Przemysłowej Służby Zdrowia — Lech Gorczycki powiedział, że od

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,
Bohdan Gadomski, Jacek

Giebski, Witold
Kasperkiewicz,

Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzemiński,

Władysław Malka, Marek

Mamos, Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny, Jerzy

Panasewicz, Karol J.
Strzyjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i powiatowych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli; 2.

dla indywidualnych prenumera-
torów: osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
opłacają prenumeratę w urzęd-
dach pocztowych i u doręczycieli
osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach Odd-
ziałów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” opłacają prenumera-
tę wyłącznie w urzędach poczt-
owych nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca zamiesz-
kania prenumeratora. Wpłaty do-
konuje się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch”; 3.

prenumeratę ze zleceniem wysył-
ki za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch” Cen-
tralna Kółportażu Prasy i Wy-
dawnictw, ul. Towarowa 28,
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie, nr 1153-
-201045-139-11. Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę
— do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 3446. B-2.

Przegląd prasy

Nie wiem, czy jest drugi na-
ród na świecie, który poświę-
całby tyle miejsca i czasu, co
my, dyskusjom o własnym lo-
sie dziejowym i charakterze na-
rodowym. No, może tylko Zyg-
dzi nam dorównują. Zygdy nie
w okresach rozmaitych
kłósk społecznych i trudności
rozwojowych wraca na łamy
prasy fascynujący problem:

JACY JESTEŚMY?

Wszelkie teksty na ten temat
pobudzają niewątpliwie do my-
ślenia historyzoficznego i przy-
czynniają się do rozwoju samo-
wiedzy narodu. Ostatnio z ciek-
awą inicjatywą wystąpiła re-
dakcja „RZECZYPOSPOLITEJ”.
Zaprosiła czytelników do dys-
kusji o Polakach roku 1986. O-
czekuje odpowiedzi na pytania:
„Jacy jesteśmy? Dobrzy czy źli?
Małostkowi czy wielkoduszni?
Pracowici czy leniwi? Kierują-
cy się rozumem czy emocjami?
Zamknięci w kręgu swoich
spraw, czy gotowi do poświęceń
dla innych? Jakże wartości ce-
nimy przede wszystkim?”

Na początek opublikowano
(nr 259) wypowiedzi profesorów
Mariusza Gulczyńskiego i Wła-
dysława Markiewicza. Pierwszy
z respondentów podkreśla, że
współcześnie nie możemy narze-
kać na nadmierne zróżnicowa-
nie poglądów dotyczących na-
prawy Rzeczypospolitej, lecz
przeciwnie, występuje niedosta-
tek pomysłowości i dysput. „Po-
kłosie, dwu euforycznych zlu-
dzeń na szybkie i łatwe do-
złusowanie do najwyższej cywil-
izacyjnie rozwiniętych społec-
zeń — z czasów zwanych
gierekowskimi i z 16 miesięcy po
sierpniu 1980 r. — popadamy
coraz bardziej w zacięcie,
biadolenie i beznadziejność o spra-
wach ogólnonarodowych”.

Z kolei Władysław Markie-
wicz, wiceprezesa Polskiej Aka-
demii Nauk, zaznacza na wstę-
pie, że w nowej dyskusji o spra-
wach narodowych trudno bez-
dziej powiedzieć coś zupełnie
nowego i oryginalnego. Uchodzą-
my za naród o silnie rozwinię-
tym zmysle historycznym, mo-
cno przywiązany do tradycji na-
rodowo-patriotycznych. Nie po-
trafimy jednak uporać się z
dylematem: czy bardziej cenit-
my tradycje heroistyczne i marty-
rologiczne, czy też idee pracy
organizacyjnej i postawy pozytyw-
nawczej. Niezwykle rzadko
w naszej historii zdarzały się o-
kresy, w których podstawa in-
tegracji narodu była zycząca
praca dla kraju, a nie czyn żoł-
nierski.

O cechach narodowych Pola-
ków prof. Markiewicz wypo-
wiada się również w rozmowie,
którą dla dwutygodnika spo-
leczno-kulturalnego „WARMIA I
MAZURY” (nr 2) przeprowad-
ził Marek Barański. Wicepre-
zes PAN twierdzi, że mamy zbyt
kontemplacyjny stosunek do hi-
storii. Zamiast wyciągać wnioski
i określone nauki na przy-
szłość, głównie rozpatrywaliśmy
zdarzenia z przeszłości. Jest to
nasza wada narodowa, którą
musimy stanowczo przezwycię-
żyć.

W sprawie postaw Polaków
wobec pracy Władysław Markie-
wicz sądzi, że nie z natury ży-
stajemy, lecz z przyczyn sys-
temowych. Nie potrafiliśmy
stworzyć takiego systemu, który
wymuszałby ujawnianie się po-
staw pozytywnych. Interesują-
ce na przykład, że w krajach
zachodnich polscy stypendyści
dodatkowo wyróżniają się od
innych nacji. Wskazuje się
tam na trzy ich cechy.
Po pierwsze — mają wy-
jątkową zdolność adaptacyj-
ną i błyskawicznie uczą się ob-
sługi nieznanej im przedtem a-
paratury naukowej. Po drugie
— są niebywale wręcz pracow-
i, obowiązkowi i zaangażo-
wani, czym ponoc decydują-
nie górują nad innymi. I po

trzecie — odznaczają się aż do
przesady posuniętą oszczędno-
ścią.

CO NAM PRZESZKADZA

żebyśmy lepiej funkcjonowali
jako naród i państwo? Profes-
sor W. Markiewicz mówi:
„Brak marginesu dla działań
spontanicznych zabija inicjaty-
wę, ducha innowacyjności, któ-
ry tkwi w każdym właściwie
obserwowanym, co najlepiej można
obserwować na przykładzie dzie-
ci. Okazuje się, że dzieci w
wieku przedszkolnym są u nas
nieśmiałe, pełne inwencji,
pomysłowości, potem idą do
szkoły, która stopniowo ten
duch innowacyjności niweczy.
W skali czy wymiarze ogólna-
 społecznym, ogólnonarodowym
czy ogólnopaństwowym musi to
później dawać niszczące efekty.
I dlatego wracam do przykładu
polskich stypendystów i stajusz-
tów. Trzeba uznać za okoli-
czność wręcz tragiczną, że te
rzeczywiste cechy charakteru
narodowego ujawniają się nie u
siebie w domu, a dopiero gdzieś
na zewnątrz. Zresztą pomysł-
my o tych polskich wynalazcach
w sferze nauk ścisłych i przy-
rodniczych, a także w sferze hu-
manistycznej, którzy zrobili karie-
rę nie w kraju, a za granicą...
Moim zdaniem nie jest to przy-
padkowe, nie wynika to ułame
z tego faktu, że Polska nie była
niepodległa, tylko że poczyn-
ając od czasów saskich nie po-
trafiliśmy stworzyć systemu rzą-
dzenia krajem, który by sprzy-
jał rozwojowi inicjatywy. Na-
dal, moim zdaniem, trudności
wynikające z realizacji re-
formy mają swoje źródło w tym,
że margines dla działań
spontanicznych jest stanowczo
za wąski, że nadal utrzymuje
się atmosfera podejrzliwości,
niechęci w stosunku do ludzi,
którzy by chcieli działać w spo-
sób niekonwencjonalny”.

W danym systemie instytucjo-
nalnym ponosimy tym większą
straty, że jesteśmy wyjątkowo
zdolnym narodem. Na przykład
w Republice Federalnej Niem-
iec — jak podaje prof. Mar-
kiewicz — dzieci naszych dy-
plomatów, a także kierowców
radzą sobie znakomicie. W krótk-
im czasie wychodzą w tamtejsze
szkoły na absolutnie
przebiegających uczniów. Wyró-
niają się zdolnościami, uporem,
pracowitością. I podobno nie są
to sporadyczne zjawiska. Wyni-
ka więc z tego, że Polak na-
prawdę potrafi, ale dopiero za
granicą...

W naszym kraju wciąż bory-
kamy się z poważnymi trudno-
ściami, pokonujemy skutki rozle-
głego kryzysu. Od zakończenia
X Zjazdu PZPR minęły cztery
miesiące. Jest jesień 1986 roku.
Powstaje w związku z tym py-
tanie:

W JAKIM MOMENCIE

znajduje się aktualnie Polska?
Zapytał o to Władysław Tybu-
ra i sekretarz Komitetu Łódz-
kiego PZPR, Józef Niewiadomski.
Wywiad znajduje się w
sobotnio-niedzielnym „ŻYCIU
WARSZAWY” (nr 261). Oto
odpowiedź: „Postępując się du-
żą syntezą, a zarazem pewną
obrazowością można powiedzieć,
że chyba uporał się z cie-
niami przeszłości i przystąpił
my do kształtowania przyszło-
ści. To znaczy fakty i zdarzenia
z przeszłości, zwłaszcza te nie-
dawne, która tak negatywnie
wpłynęła na sytuację naszego
społeczeństwa i kraju, już nie
dominują w myśleniu, nie od-
wracają nas do tyłu. Wyciąga-
my z tej przeszłości wnioski,
ale myślimy realnie o przyszło-
ści”.

Za problem numer jeden dzia-
lejszej polskiej rzeczywistości
Józef Niewiadomski bez waha-
nia uznał gospodarkę. Musimy
przede wszystkim nadać jej wię-
kszą dynamikę rozwojową. Bez
tego bowiem nie da się załat-
wić dotkliwych spraw społecz-
nych i poprawić pozycji Polski
w świecie. „Sprawna, wysoko-
wydajna i nowoczesna gospo-
darka” — mówi I sekretarz KE
PZPR — jest dziś najpewniej-
szym argumentem w stosunkach
międzynarodowych, najmocniej-
szym autorem. Oczywiście, jako
działacz partyjny nie bagateliz-
uję innych sfer życia, zwłaszcza
polityczno-społecznej (...).
Dla pomysłowego rozwinięcia na-
szego polskiego węża trzeba
ciągnąć za wiele sznurków, go-
spodarka ma jednak pierwszo-
rzedne znaczenie”.

Nurt gospodarczo-produkcyj-
ny dominuje też w kampanii
sprawozdawczo — wyborczej.
Członkowie łódzkich organiza-
cji partyjnych rozumieją wagę
problemów i pragną sprostać za-

daniom. Ludzie chcą produk-
ować lepiej i więcej, ale domaga-
ją się odpowiedniej ilości suro-
wów, materiałów i narzędzi o-
raz lepszej organizacji pracy.
Zdaniem Józefa Niewiadomskie-
go — „niewystarczające są je-
dynak jeszcze umiejętności posiu-
giwania się rachunkiem ekono-
micznym, mechanizmami wy-
muszającymi efektywność i ja-
kość”. O nowe zasady gospo-
darowania musza dbać także or-
ganizacje PZPR. Udział bezpo-
średni partii w procesach go-
spodarczych będzie miał dopie-
ro w miarę sprawnego funkcyj-
nowania mechanizmów samo-
regulujących reformy.

Józef Niewiadomski nie jest
w pełni zadowolony z funkcyj-
nowania na terenie łódzkim in-
stytucji mających zapewnić rea-
lizację zasad ludowości i sa-
morządności. Rady narodowe
i samorządy nie wykorzystują
wszystkich swoich uprawnień.
„Oto niedawno — czytamy —
zwrócił się do mnie rolnik ze
skargą na kierownika punktu
skupu, że złodziej i łapownik.
Mówię im: ludzie, przecież mo-
gliście sami spowodować nie
tylko usunięcie go z tej posady,
ale ukaranie za nadużycia.
Przecież macie samorząd spó-
dzielczy, wykorzystujcie go. Zo-
stał on powołany, żeby bronił
waszych interesów”.

Ostatnio coraz częściej słyszy-
my ze strony ekonomistów, że
właśnie w nadbudowie politycz-
nej trzeba szukać źródeł słabo-
ci naszej gospodarki i kłopot-
ów z jej reformowaniem. W
tygodniku „WPROST” (nr 45) dr
Jerzy Hausner z Akademii E-
konomicznej w Krakowie po-
wiada (w rozmowie z Piotrem
Grochalskim), że w rozwoju
Polski Ludowej uwidacznia się
klasyzna

MARKSOWSKA SPRZECZNOŚĆ

między sztywnym i mało podat-
nym na zmiany systemem spra-
wowania władzy, a bardziej dy-
namiczną sferą społeczno-gospo-
darczą. Stwierdzenie takie mo-
żna również znaleźć w tzw. rap-
porcie Hieronima Kubiaka. Ale
wiedzieć, że coś jest złe, to nie
oznacza wcale młoc i chcieć
zmienić. Wchodzi tu więc bówiem
w grę rozmaite interesy i od-
miennie poglądy.

„Gdybyśmy przeszli do no-
wych systemów — mówi dr
Hausner — gospodarczego i wła-
dzy politycznej, a więc gdyby
silniejszą pozycję uzyskały sa-
morządy, rady narodowe i
Sejm, to przecież mogłoby to
oznaczyć koniec z uprzednio-
waniem pewnych branż w prze-
myśle, np. w zakresie płac czy
inwestycji”. Tego rodzaju zmia-
ny nie dokonują się łatwo, po-
nieważ wszyscy są uwikłani w
jakieś interesy: zarówno człon-
kowie społeczeństwa jak i fun-
kcyjnarzusz aparatu władzy.

Oba systemy (gospodarczy i
polityczny) mają ogromny
wpływ na trzeci układ życia
społecznego, jakim jest kultura.
W tej dziedzinie potrzebne są
niemałe dotacje. Pochodzą one
głównie z Funduszu Rozwoju
Kultury. W łódzkim przewo-
dniku kulturalnym „KALEJDO-
SKOP” (nr 2) — wydawanym
przez Centrum Informacji Ku-
lturalnej — Ryszard Czubacz-
ski podaje, że bez dopłat biliet
do Teatru Wielkiego kosztował-
by aż 3 800 zł, a do teatru dra-
matycznego ok. 800 zł.

Podobne dane można znaleźć
w artykule Zdzisława Zarycz-
nego na łamach „PRZEGŁADU
TYGODNIOWEGO” (nr 45). Z
zamieszczonej przez autora ta-
beli wynika, że województwo
łódzkie zajmuje zdecydowanie
drugie miejsce w kraju pod
względem ilości pieniędzy na je-
dnego mieszkańca wydatkowa-
nych z Centralnego Funduszu
Rozwoju Kultury. Na pierwszym
miejscu jest krakowskie.

W tym samym tygodniku
Piotr Kuciewicz prezentuje do-
robek łódzkich poetów: Bernar-
da Sztajnera, Romana Łobody,
Mieczysława M. Szargana, Zbi-
gniewa Kosińskiego, Jerzego
Waleńczyka, Henryka Harten-
berga i Jerzego Wilmańskiego.
Warto przeczytać ten (już 157)
odeinek interesującego cyklu.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Mieć władzę!

„Gdybym był królem” — mówi rosyjskie porzekadło — „zaja-
dałbym sadio z sadłem”. Nie dziwny się naiwności tego ludowe-
go wyobrażenia, zrodzonego zapewne wśród ludzi niezbyt sy-
tych, wypowiedziane bowiem, nawet niejedną osobą wykształco-
ny, wypowiada równie naiwne opinie o tym, co by zrobił, gdyby
mu wpadła w ręce absolutna władza.

Wystarczy przysłuchiwać się wypowiedziom ludzi znanych
i obcych; nawet nie trzeba ich pytać, co by uczynili w sprawach
publicznych, jaką radę znaleźli na najdokuczliwsze bytowe i spo-
łeczne bolączki. Okazuje się, że większość ma gotowe i niezawo-
dne recepty, czy to na uzdrowienie gospodarki, czy udoskonal-
nie demokracji lub likwidację przestępczości, na zreformowanie
systemu nauczania, czy też wychowanie młodego pokolenia.

Osobnik, który odważy się o tym mówić z tak ważnych i tym po-
dobnych tematów powiedzieć: — „Nie mam zdania, bo zupełnie
się na tym nie znam i nawet nie miałem czasu gruntowniejsi się
nad tym zastanowić” — łatwo zyskuje sobie opinię fałszywie
skromnego albo nierozgarniętego umysłowo. Stanowczo należa-
ny do narodów, wśród których inteligentowi „nie uchodzi” ni-
znać się na polityce, sztuce i jeszcze kilku sprawach będących
najczęstszym przedmiotem rozmów, a prawie nikomu nie przy-
chodzi na myśl, że można by wzorem innych nacji uznać, iż się
to sprawy będące domeną specjalistów. Powiedzenie: „nie jestem
fachowcem” nie stanowi żadnego argumentu w społeczeństwie
którego znaczna część uważa, iż miernikiem inteligencji człowie-
ka jest skwitowanie wszystkiego zgrabnym powiedzonkiem dla
zabawienia towarzystwa i nie ma takiej dziedziny życia, w której
by sobie „bystrzak” nie poradził.

Nie inaczej ze sztuką rządzenia państwem, która wydaje się
ludziom szczególnie łatwą, gdyż polega, jak sobie wyobrażają,
na wydawaniu słusznych, tzn. doraźnie korzystnych dla ogółu
poleceń. Według tych wyobrażeń wystarczyłoby w zupełności,
żeby np. minister gospodarki żywnościowej wezwał do siebie
swoich podwładnych i, pod karą wyłączenia ich z posady, zarządził,
by od jutra było w kraju w bród taniego mięsa najlepszych ga-
tunków, a znów minister płac, żeby uznał, iż z powodu biedy w
kraju znacznie się każdemu wypłacać o pięć tysięcy miesięcznie
więcej; minister kolei zaś, żeby natychmiast spowodował włącze-
nie do ruchu setek dodatkowych, nowiutkich pociągów. Jeśli ci
panowie tego nie robią, to oczywiście dlatego, że według części
naszej opinii, nie życzą oni ludziom dobrze, a nawet cieszą się
z robenia im na złość, żeby ich pognębił.

Być może mam akurat takie szczęście do znajomych, ale za-
pewniam najzupełniej serio, bez żadnej przesady, że część z nich
myśli dosłownie tak, a nie inaczej, i może dopiero kiedy któryś
z nich przeczyta, jak naiwnie jego opinie brzmią przytoczone
w druku, może wtedy znacznie się zastanawiać trochę głębiej nad
polityką społeczną i gospodarczą.

Okazuje się, że wyobrażenia, iż sztuka rządzenia państwem jest
stosunkowo prosta mogą ulegać nawet ludzkie tak zdawałoby się
zorientowani teoretycznie, jak historycy, którzy, badając prze-
szłość, stykają się nieustannie z tematyką struktur i mechaniz-
mów państwowych, z relacjami pomiędzy czynnikami obiektyw-
nym a subiektywnym, czyli tzw. ludzkim. A jednak, jak wynika
z niedawnej telewizyjnej wypowiedzi nowego ministra kultury,
z zawodu profesora historii, to i on, zanim został ministrem,
wyobrażał sobie zarządzanie państwowym resortem jako czynność
stosunkowo łatwą do opanowania przy posiadanej przez niego
wiedzy zarówno o państwie, jak i o kulturze. Ku jego zaskocze-
niu jednak okazało się, że z pozycji rządowej widać o wiele
więcej czynników, od których musi zależeć podejmowanie decy-
zji, niż można przewidzieć, gdy się ktoś przygląda polityce z
zewnątrz.

Sądzę, że ta wypowiedź musiała niejednego z telewizorów ująć
swoją rzeczowością i skromnością, a powinna też pohamować
nasze zapędy do pochopnego wygłaszania autorytatywnych opinii
o tych sprawach publicznych, w których brak nam teoretycznej
wiedzy bądź praktycznego doświadczenia. I choć historia
poświadcza, że od najdawniejszych czasów po dziś wybijają się
w polityce ludzie „nowi”, którym za główną kwalifikację starczy
polityczny talent, to przecież nie każdy z nas może być kompe-
tentnym sędzią ich działalności.

Zapewne trudno się wyrzec ludziom marzeń o władzy dla za-
pewnienia sobie szczęścia i uszczęśliwienia innych. A swoją dro-
gą, co też bym zrobił, gdybym miał władzę? Zadałbym oczy-
wiście o należyte zapasy wzmiankowanego sadła. Co jednak da-
lej, co zrobić dla innych? Chyba zacząłbym rozglądać się za
kompetentnymi i uczciwymi doradcami, choć nie wykluczam, ob-
serwując liczne przykłady, że ostatecznie otoczyłbym się służal-
czymi pochlebami, a potem nie mógłbym pojąć, dlaczego zarzu-
ca mi się popełnianie tylu błędów i wypaczeń...

Bezpieczniej więc uprawiać swoje skromne poetko.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

Już niebawem w naszym tygodniku można będzie
przeczytać między innymi:

— interesujący artykuł o tajemniczym związku między
serialami telewizyjnymi a spadkiem jakości produkcji
w Stanach Zjednoczonych;

— rozmowę BOGDY MADEJ z dziekanem Wydziału
Ekonomiczno-Socjologicznego UL, docentem Zdzisławem
Prochowskim, zatytułowaną „Depresja w środku Polski”;

— reportaż MARII CHARRIERE-WŁODARSKIEJ na
temat ponurej historii, która od roku pasjonuje Amery-
kanów i mogłaby stanowić wątek kolejnego serialu tele-
wizyjnego;

— artykuł TERESY JERZYKOWSKIEJ wyjaśniający,
na czym polega Uniwersalna Metoda Wartościowania
Pracy (UMEWAP), której skutki wkrótce odcujemy na
własnej skórze;

— materiał BOHDANA GADOMSKIEGO o bardzo u-
talentowanej i nagrodzonej na Festiwalu w Krynicy trój-
ce solistów Teatru Wielkiego w Łodzi;

— rozmowę przeprowadzoną przez DARIUSZA DORO-
ŻYŃSKIEGO z człowiekiem, który od 20 lat kieruje jed-
nym z najbardziej prężnych przedsiębiorstw budowla-
nych w kraju i zna wszystkie słabości naszego budow-
nictwa;

— artykuł ANDRZEJA KUCHARCZYKA prezentują-
cy niezwykle życiorys pewnego Greka, którego po dra-
matycznych przeżyciach uratowała Polska.

Jest rok 1954. II Zjazd PZPR 17 marca zakończył swoje obrady. Nadszedł czas realizacji przyjętych uchwał. Wzburzały one duże zainteresowanie. Oczekiwano, że podczas ich realizacji zajdą znaczne zmiany. Przeciwnie w czasie obrad zjazdowych krytykowano — wyprawdzie jeszcze nie miało — różne ujemne zjawiska.

„Kierownictwo partii — napisał niedawno w „Rzeczywistości” Czesław Kozłowski — obawiało się zbyt daleko idącego zwrotu, a także krytyki dotychczasowej polityki. Opowiadano się nadal za podtrzymaniem wysokiego tempa u przemysłowienia kraju, obawiano się też uwadnienia faktów naruszenia praworządności. Nie zamierzano zrewidować znanego stanowiska w sprawie tzw. odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. W praktyce niewiele czyniono dla odbudowy demokracji wewnętrznej, dla umocnienia roli organów przedstawicielskich (Sejmu, rad narodowych), organizacji zawodowych i społecznych czy współudziału załóg w zarządzaniu zakładami pracy”.

Ala przecież

COŚ SIĘ ZMIAŃIAŁO

8 kwietnia 1954 roku w Zakładach Mechanicznych „Ursus” podpisano pierwszą w przemyśle maszynowym i jedną z pierwszych w kraju umowę zbiorową. Od 5 do 9 maja obradował III Kongres Związków Zawodowych, na którym dokonano krytycznej oceny dotychczasowej pracy organizacji związkowej. Przewodniczącym CRZZ wybrano Wiktora Kłosiewicza. 18 maja Prezydium Rządu podjęło uchwałę o przyznaniu matkom zasiłku chorobowego za okres nieobecności w pracy z powodu choroby dziecka. 25 maja ukazał się dekret o powszechnym zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin. 2 i 3 lipca obradowało II Plenum KC PZPR, które zajmowało się sytuacją w rolnictwie. 20 lipca ruszyła Huta Aluminium w Skawinie, 22 lipca Huta im. Włodzimierza Lenina w Nowej Hucie rozpoczęła wytwarzanie surowca.

26 lipca przyjechał do Polski premier Chińskiej Republiki Ludowej — Czou-En-lai. Jego wizyta w Polsce trwała do 28 lipca 1954 roku. 30 sierpnia została zwolniona z więzienia Zofia Gomułkowa — żona Władysława Gomułki, który pozostał nadal w więzieniu w Miedzeszynie. Zofia Gomułkowa zamieszkała w jednopokojowym mieszkaniu syna przy ul. Poznańskiej w Warszawie.

8 września Zarząd Główny ZMP wzywa młodzież do udziału w zgłoszowanemu odłogów. W tym mniej więcej czasie Józef Świątło — pułkownik, wicedyrektor X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który w grudniu 1953 roku uciekł do Berlina Zachodniego, a stamtąd do USA — zaczyna przed mikrofonami Wolnej Europy nadawać rewelacje o pracy UB w Polsce. Jego informacje przy pomocy balonów są kolportowane do Polski w formie ulotek.

25 września dokonana została reforma administracji: zaniżano 3 tysiące gmin i 40 tysięcy gromad powstaje 8800 gromad.

3 października Władysław Gomułka w stanie krańcowego wyczerpania zostaje przewieziony z więzienia w Miedzeszynie do Centralnego Szpitala MBP przy ul. Wokulskiej w Warszawie, gdzie pozostaje nadal pod strażą. 25 października PAP publikuje komunikat o ucieczce płk. Józefa Świątła. W komunikacie tym znalazło się stwierdzenie, że w pracy MBP dopuszczono się łamania praworządności, fabrykowania fałszywych dowodów, więzienia ludzi na podstawie fałszywych oskarżeń.

23 listopada — po 4 latach nieobecności — mianowano polskiego ambasadora w Belgradzie.

POD KONIEC LISTOPADA 1954 ROKU

odbyła się w Warszawie narada centralnego aktu partii politycznej. Obyła się ona 29, 30 listopada. Referat wprowadzający wygłosił Bolesław Bierut. Przyznał się samokrytycznie do niedociągnięć w pracy Biura Politycznego KC PZPR. Poinformował o reorganizacji aparatu bezpieczeństwa. Były to jeszcze zamierzenia, gdyż formalnie MBP przestało istnieć 7 grudnia. Powstało wówczas Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z Władysławem Wicą jako ministrem i Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego z Władysławem Dworakowskim jako przewodniczącym. Zapowiedział też przedłożenie wniosków na najbliższym posiedzeniu plenarnym KC PZPR w sprawie usunięcia z KC Romana Romkowskiego oraz wykluczenia z partii Anatola Fejgina i Jacka Różańskiego.

Po referacie Bolesława Bieruta nastąpiła ostra i dramatyczna dyskusja. Uczestnikami tej narady był Jerzy Putrament. Oto, co zanotował w czwartym tomie wspomnień „Pół wieku” z tytułowym „Literaci”.

„Piszę 20 XI 54: „Historyczny dzień: aktywny KC Referat Bieruta z propozycjami reorganizacji bezpieczeństwa...” i ujawnieniem niektórych faktów „naruszenia praworządności”. Jak się od tego dnia zaczęło wyrażać.

Było to ogólnikowe i ucale nie światoburcze. Ale trafilo na daleko posunięte procesy przeceny wartości politycznych, dziejące się w świadomości obecnych. Wybuchła niezwykle ożywiona dyskusja. (...)

Ogólnie biorąc, krytykowano resort bezpieczeństwa, ale nie tylko, bo zahaczano i o styl pracy partii i kierownictwa włącznie. Zresztą, niektóre ze spraw bezpieczeństwa, ze względu na swoją rangę, nie mogły nie zahaczać znacznie wyższych odpowiedzialności.

Tak na przykład po raz pierwszy od pięciu lat usłyszeliśmy o sprawie Gomułki, Kłosiewicza w długim krytycznym przemówieniu powiedział: wprost: albo jest winny, to go sądzić, albo nie jest winny, to go wypuścić! (...)

Następnego dnia aktywność zaczęła się po południu. Były tym razem próby „kontrofensywy”. Szyr, Jędrzychowski i Morawski replikowali na krytykę i starali się czerpać krytykujących: w przeciwieństwie do Bermana i Radkiewicza, którzy poprzednio dnia wygłosili nieprzekonywające samokrytyczne, zresztą blade i nieprzekonywające. Najostrzej występowali — poza Kło-

siewiczem — R. Granas, Wierbowski, Ola Kozłowska. Drugiego dnia bardzo ostro wystąpił Rumiński, domagając się wyłączenia wniosków organizacyjnych wobec Radkiewicza”.

Narada przebiegała w atmosferze emocji, ostrej krytyki, niezadowolona. Krytykowano członków Biura Politycznego KC PZPR, co do tej pory zupełnie się nie zdarzało: zwłaszcza krytykowano Jakuba Bermana, Hilarego Minca i Stanisława Radkiewicza. Przebieg narady nie mógł nie zastanowić kierownictwa partyjnego. Czesław Kozłowski napisał w „Rzeczywistości”: „Kierownictwo partii zdawało sobie sprawę, że nadciąga „nowe”, prawdopodobnie nie wyobrażone przez siebie rozmiarów”. Bano się zapewne też żywiołowości, niekontrolowanego procesu przemian. Niemniej jednak stawało się jasne, że dalej tak kierować państwem i partią już nie można.

5 grudnia 1954 roku odbyły się w Jory do rad narodowych wszystkich szczebli. Udział w wyborach wzięło od 91,95 do 95,88 proc. uprawnień do głosowania. Na listy kandydatów Frontu Narodowego głosów oddało od 97,26 do 98,46 proc. głosujących.

13 grudnia przewodniczący Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego Władysław Dworakowski przybył do szpitala przy ulicy Wolowej i powiadomił Władysława Gomułkę, że została uchylona decyzja o aresztowaniu. Zdjęto straż, która do tej pory pilnowała chorego Władysława Gomułkę.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdy ilość zaczęła przechodzić w jakość

24 grudnia — za zgodą lekarzy — Władysław Gomułka opuścił na dwa dni szpital, aby święta Bożego Narodzenia spędzić z rodziną. Do mieszkania na ulicę Polną w Warszawie przewieziono go taksówką. Przewoził: żona Zofia i dwaj byli żołnierze Batalionu Armii Ludowej im. Czartaków: Edwin Rozłubirski „Gustaw” i Jan Sipak „Don Kichot”. 27 grudnia Władysław Gomułka powrócił do szpitala przy ul. Wolowskiej. Wyszedł 31 grudnia, aby wraz z rodziną spędzić Sylwestra i powitać nowy rok — 1955. W styczniu — zaraz po Nowym Roku — był z żoną w Krośnie na pogrzebie swojej matki. 7 stycznia powrócił do szpitala przy ul. Wolowskiej. Wyszedł z niego — na własną prośbę — 20 stycznia 1955 roku. W przeddzień III Plenum KC PZPR.

W DRUGIEJ POŁOWIE STYCZNIA 1955 ROKU

— a dokładnie w dniach od 21 do 24 stycznia — obradowało III Plenum KC PZPR. Uczestnik tych obrad Jerzy Putrament zanotował w tomie wspomnień „Literaci”:

„Było to pierwsze po pamiętnym aktywie i nie mogło spraw tam poruszanych pomijać. Ale przez te niepełne dwa miesiące przytłumiono akcenty krytyczne i w referacie, i co ważniejsze, w dyskusji. Wystuchaniem referatu Bieruta z wyraźnym niedosytem. (...)

Tymczasem Bierut we właściwym sobie stylu mówił o wszystkim, o ważnym i nieważnym, i tyle było tego drugiego, że pierwsze gubiło się, toniło, ludzie przestawali widzieć całą jego wagę i powagę.

Dyskusja dopasowała się do referatu, „była taka i owaka, były próby powrotu do rzeczowej krytyki sprzed dwu miesięcy, ale wychodziło to słabo”.

W lutym ukazał się w nim artykuł „Nowych Drog” z 1955 roku, a w nim artykuł Jerzego Morawskiego „III Plenum KC PZPR”. Publikowanie materiałów do obrad plenarnych KC PZPR w „Nowych Drogach” wówczas nie praktykowano. Artykuł na wstępie podsumowywał osiągnięcia. Autor cytował wypowiedź Bolesława Bieruta z referatu wygłoszonego na III Plenum KC:

„Przechodzimy na plenum z centym dorobkiem, stwierdzając wzrost aktywności naszej partii, jej dojrzałość politycznej i więzi z masami. Równocześnie ostrzeżenie, iż kiedykolwiek widzimy słabość, braki i luki w naszej pracy. Widzimy z całą ostrością nie wykonane przez partię zadania, nie uruchomione dotąd rezerwy, widzimy duży dystans między naszymi możliwościami a ich realizacją”.

Dalej Jerzy Morawski przypomniał, że partia określa ideologicznie „w walce z dywersją mikołajczykową, w walce z socjaldemokratyzmem i ze szkodliwymi, antypartyjnymi koncepcjami gomułkowszczyzny”. W tej walce wychowali się ofiarni, oddani sprawom ludu pracującego aktywiści.

Jerzy Morawski nie krył wstępnego, że „hamują nas braki i słabości występujące w metodach naszej pracy partyjnej i państwowej”, że te metody „pozostają w tyle za zadaniami politycznymi i gospodarczymi”. To wszystko, co przeszkadza i hamuje rozwój partii, państwa i budownictwa socjalizmu musi być przezwyciężone i usunięte. Pomoc w tym musi uchwalać III Plenum KC PZPR: „W sprawie pełnego przestrzegania leninowskich zasad życia partyjnego i kolegałości kierownictwa oraz przezwyciężenia biurokratycznych wypaczeń w pracy partii i w aparacie państwowym”. W tej przydługiej nazwie uchwały syntetycznie zawierał się cały program usuwania przeszkód i hamulców.

Bolesław Bierut przyznał w referacie samokrytycznie, że również w pracy Biura Politycznego KC PZPR występowały braki.

„Biuro Polityczne — mówił — stwierdziło, że zasada kolegałości nie była przestrzegana w pracy samego Biura Politycznego, że nie wszy-

scy jego członkowie uczestniczyli równomiernie w omawianiu i decydowaniu podstawowych spraw, że plenarne posiedzenia KC zwolniane były rzadko, zaś Komitet Centralny nie realizował w tych warunkach swoich funkcji kierowniczej instancji partyjnej”.

Jerzy Morawski przypomniał uchwałę Biura Politycznego KC PZPR oceniającą konferencje partyjne w 1953 roku i naradę aktywną partyjnego, która odbyła się 17 czerwca 1953 roku, na której „stwierdzono, że na takie ujemne zjawiska w stylu pracy partyjnej, jak wąski praktycyzm, nieumiejętność łączenia w działalności wielu instancji i organizacji partyjnych, programowych zadań praktycznych z zasadniczymi programowymi dążeniami partii, stało się tępym życia politycznego w wielu organizacjach partyjnych, niedorożów krytyki i samokrytyki”.

Listopadowej naradzie z 1954 roku, której bezpośrednim wynikiem było III Plenum KC PZPR, Jerzy Morawski poświęcił zaledwie pół zdania. Napisał:

„Zupełnie inaczej potraktowały te sprawy uchwały Biura Politycznego z 24 i 25 listopada ub. roku w sprawie kolegałości kierownictwa, poświęcona omówieniu tych uchwał narada centralnego aktu partyjnego, która odbyła się w pierwszych dniach grudnia, oraz III Plenum”.

Pomijam już fakt, że narada odbyła się w ostatnich dniach listopada, ale potraktowanie tej ważnej narady kilkoma zdawkowymi słowami,

wami, a w zasadzie informacją tylko, że się odbyła, pokazywało jak bardzo nie rozumiano narastającej sytuacji. Jerzy Morawski próbował analizować sytuację powstałą wówczas w Polsce pod tytułem kątami widzenia:

1. — jako doświadczenia wynikające z realizacji uchwał II Zjazdu PZPR,
 2. — jako nauki wynikające z tragicznych doświadczeń łamania praworządności,
 3. — jako doświadczenia wynikające z przebiegu kampanii wyborczej do rad narodowych.
- II Zjazd PZPR dokonał poważnej zmiany w programie gospodarczego rozwoju kraju, czyniąc go bardziej realnym, wiążąc go również z możliwościami. Średnia płaca realna pracowników w przemyśle i instytucjach wzrosła o 12 proc., a chłopów o 11 proc.

TRUDNOŚCI ZOSTAŁY ZŁAGODZONE,

ale nie rozwiązane. W tym samym numerze „Nowych Drog”, w którym ukazał się artykuł Jerzego Morawskiego, redakcja próbowała odpowiadać na pytania, jakie do niej napłynęły. Na przykład, czy wzrost stopy życiowej równa się wzrostowi realnych płac? Oczywiście, że nie, bowiem „na wzrost stopy życiowej obok wzrostu płac realnych wpływa także wzrost zatrudnienia i związany z nim wzrost ilości zatrudnionych w rodzinie, wzrost poziomu świadczeń ubezpieczeniowych, wzrost nakładów państwa na ochronę zdrowia, oświatę, kulturę, gospodarkę komunalną, sport, wczesny itp.”. Dalej redakcja „Nowych Drog” przypomina, że „praktyki, cichego” podnoszenia cen są surowo zabronione przez partię i rząd, ale jeśli „gdziekolwiek zdarzają się fakty samowolnego podnoszenia cen, należy natychmiast o tym sygnalizować dla umożliwienia szybkiego reagowania i wyłączenia wobec winnych właściwych konsekwencji”. Z dalszych wyjaśnień wynika, że takie praktyki mogą być stosowane „przez nieuczciwych pracowników handlu”.

Redakcja „Nowych Drog” wyjaśniła również, że występują trudności w pełnym zaopatrzeniu w węgiel nie tylko na wsi, ale też w mieście, w przemyśle, na kolei i dla wypełnienia eksportowych zobowiązań. A dzieje się tak dlatego, że wzrost wydobycia węgla wyniósł tylko 3 proc., podczas gdy wzrost produkcji przemysłowej, przewożenia kolejowych i zapotrzebowania przez wieś był znacznie wyższy. Tak więc wydobycie nie pokrywa zapotrzebowania. Stąd i trudności.

Przypomniałem sobie pisaną w niedzielnym opowiadaniu mi kiedyś przynajmniej Anodimera Stokowskiego, kiedy jeszcze pracował w „Ogłoszeniach”, która ilustruje stan ówczesnej propagandy. W czasie występujących trudności w zaopatrzeniu w węgiel wiejskich odbiorców poproszono dziennikarzy o wyjaśnienie sytuacji. Jeden z łódzkich dziennikarzy — dawno go już nie ma wśród nas, odszedł chyba z zawodu po 1956 roku — pojechał na wieś i długo tłumaczył chłopom zebranym w stodole, dlaczego na wsi brakuje węgla. Chłopi palili machorkę, atmosfera stawała się czarna od dymu i problemów, sekretarz partii zachęcał do dyskusji, chłopci milczeli i palili machorkę, prelegent ponownie tłumaczył, dlaczego brakuje na wsi węgla. Wreszcie, po kilkakrotnej zachęcie sekretarza, z końca sali podniósł się wstający chłop, splunął starczyście i nabierając w płuća ciężkiego od machorki powietrza, powiedział śmiało: — Wy nam panie wyjaśnijcie, dlaczego chłop nie może kupić węgla, jak go potrzebuje!

Jerzy Morawski w swoim artykule „III Plenum KC PZPR” przypominał, że „plan gospodarczy w przemyśle został wykonany nie we wszystkich wskaźnikach” oraz, że „nie w pełni wykonaliśmy również zadania produkcji w rolnictwie, bo tylko w 93 proc.”. Stało się tak dlatego, że nie potrafiono „w pełni uruchomić wszystkich rezerw sił, talentów, umiejętności, zmysłu gospodarskiego, jakie tkwią w masach

pracujących”. Nie bez znaczenia był tu wadliwy styl pracy partyjnej, nieliczenie się z opinią ludzi pracy, wreszcie biurokratyzm, nadmierne rozbudowana sprawozdawczość, nadmierny centralizm, biurokratyczne wypaczenia i przestrozy. Jednocześnie przestrzegał, że „walka o przezwyciężenie braków i wypaczeń w pracy partyjnej nie może toczyć się w abstrakcji, ale musi być prowadzona w powiązaniu z zadaniami politycznymi i gospodarczymi, jakie stoją obecnie przed nami”. A zadania roku 1955 „są trudniejsze niż w roku 1954 między innymi dlatego, że musimy nadrobić w poważnym stopniu to, czego nie wykonaliśmy”.

Jeśli chodzi o

WYPACZENIA W DZIAŁALNOŚCI ORGANÓW BEZPIECZEŃSTWA

to Jerzy Morawski pisał:

„Z gorącą, z pięknym bólem i wstydem dowiedzieliśmy się o faktach brutalnego naruszania zasad praworządności ludowej przez niektóre ogniska służby bezpieczeństwa, o występujących w tych ogniskach nadużyciach. Miały miejsce fakty aresztowania niewinnych osób i bezprawnego przetrzymywania ich w więzieniu, wypadki, gdy zamiast dążyć do ustalenia obiektywnej prawdy, naciągano materiał dowodowy do z góry założonych fałszywych oskarżeń. Miały także miejsce wypadki stosowania haniebnych, niedopuszczalnych metod w śledztwie”.

Jerzy Morawski zarzucił organom bezpieczeństwa „niezasadzoną ingerencję” w różne dziedziny życia, a szczególnie w sprawy kadrowe, „co stawało się nieraz źródłem samowoli, a nawet demoralizacji”, a także wulgarnie rozumienie walki klasowej i „megalomański pogląd, że one są główną siłą w tej walce”. Stwierdził także, że „wskutek niestudowanej praktyki, wynikającej częściowo z braku jasnych dyrektyw, komitety wojewódzkie i powiatowe partii nie sprawowały dostatecznej kontroli nad działalnością organów bezpieczeństwa”. Stwierdził, że „należy wychowywać pracowników aparatu bezpieczeństwa w duchu nieprzejednanej walki przeciwko wszelkim tendencjom do efekciarstwa, do konstruowania nie opartych lub też niedostatecznie opartych na faktach hipotez, prowadzących w następstwie do podnoszenia „niestudowanych oskarżeń”. Postanowiono, że wszystkie sprawy osób cywilnych — z wyjątkiem oskarżeń o szpiegostwo — przejmą sądy cywilne, gdyż do tej pory rozpatrywały je sądy wojskowe.

4 i 5 lipca 1955 roku — a więc już po III Plenum KC PZPR — w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie odbyła się przy drzwiach zamkniętych rozprawa przeciwko Władysławowi Lachowiczowi, który był współpracownikiem Władysława Gomułki w Ministerstwie Ziemi Odszyskanych. Oskarżono go bezpodstawnie o fałszywanie życia w okresie przedwojennym, o współpracę z Niemcami w okresie okupacji oraz uznano go za „gorliwego wykonawcę polityki Władysława Gomułki w Ministerstwie Ziemi Odszyskanych”. W wspólnym popieraniu kulakstwa Włodzimierz Lachowicz został skazany na 15 lat więzienia.

W tym czasie Władysław Gomułka wraz z żoną przebywał w Świeradowie Zdroju na leżeniu.

Jerzy Morawski omawiając doświadczenia kampanii wyborczej do rad narodowych stwierdził, że ujawniła ona

UJEMNE ZJAWISKA

w pracy partyjnej, „nieostateczne powiązania wielu ognisk partyjnych z masami, nawyki komenderowania i dyktowania zamiast politycznego oddziaływania i przekonywania, niedostateczna znajomość przodujących ludzi na wielu terenach, tendencje do narzucania z Góry upatrzonych kandydatów bez liczenia się z ich wolą i opinią”. Podkreślił, że „kampania wyborcza odbywała się w warunkach ostrej walki klasowej”, ale też kampania ta wykazała „wysoką dojrzałość polityczną mas”. Przestrzegając, że należy wyciągnąć właściwe wnioski z faktu, że „narażenie, że masy pracujące są twórcami historii”.

Ostro odniósł się do wadliwej propagandy, „którą można by określić jako „agitowanie tylko za tym, co już zbudowano, a nie za tym, co budujemy”. Przypomniał, że „było wiele prób kłopotowania dyskusji”, że „dlawiono krytykę”, a „dławiliście krytyki chwytając się niekiedy sposobu dyskredytowania krytykujących przez wyolbrzymianie i fałszywe naświetlanie poszczególnych faktów z ich biografii, z ich przeszłości, po to, aby odstręczyć od krytyki innych”.

III Plenum KC PZPR zwolniło Władysława Dworakowskiego z funkcji sekretarza KC w związku z objęciem przez niego przewodnictwa Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Sekretarzami KC PZPR wybrano Władysława Matwinia i Jerzego Morawskiego. Zaaprobowano wniosek zgłoszony przez komisję, której przewodniczył Franciszek Jóźwiak, aresztowanie i przekazanie właściwym organom Jacka Różańskiego oraz wnioski o wykluczeniu z partii Romana Romkowskiego i Anatola Fejgina.

W 4 dni po zamknięciu obrad III Plenum KC PZPR rozpoczął się obrad II Zjazdu ZMP. Obradował on od 28 stycznia do 1 lutego 1955 roku. ZMP liczył przeszło 2 miliony członków. Jednak w szeregach organizacji było 50 proc. młodzieży robotniczej i 15 proc. wiejskiej. W Nowej Hucie na przykład do ZMP należało 33 proc. młodych robotników. II Zjazd ZMP stwierdził, że młodzież była i jest obecna wszędzie tam, gdzie buduje się nowe życie, że towarzyszy partii z zapalem i ofiarnością. Stwierdzono też — w dyskusji przedzjazdowej i na zjeździe — że w pracy organizacji występują liczne braki, że zebrania są milczące, że słabo pracują organizacje w szkołach i na wyższych uczelniach. II Zjazd ZMP podjął uchwały, które miały przezwyciężyć występujące braki.

Był to wszakże dopiero początek mających nastąpić przemian.

88 lat robotnicy z „Boruty” leżą się we własnej przychodni. Od 1988 r. mieści się ona w nowoczesnym gmachu przy głównej bramie. Przewodzi się tu zapobieganie chorobom zawodowym. Każdy członek załogi przechodzi rutynowe badania co pół roku. Posiada książeczkę BHP, w której odnotowana zostaje każda wizyta. Musi ją pokazać kierownikowi i mistrzowi na żądanie. W praktyce nieznaczny odsetek pracowników ze stanowisk zagrożonych działaniem trucizn lekceważy ten obowiązek. Sprzyja temu „nilezając” aprobatą niektórych ludzi z nadzoru. A przełożony nie ma prawa dopuścić do pracy kogokolwiek bez aktualnego wpisu.

TYPOWE CHOROBY ZAWODOWE

z którymi mają tu do czynienia, to — przewlekły bronchit (zapalenie oskrzeli), trwałe uszkodzenie wątroby i guzy pęcherza moczowego. Pod tym enigmatycznym określeniem kryje się nowotwór. Łączna liczba tych przypadków, rejestrowana przez lekarzy, nie przekroczyła dziesięciu. Dyrektor

ty wówczas 120 mln. zł. Wybudowano fabrykę benzydyny dla poprawienia bezpieczeństwa pracy. W czasie 6-letniej jej eksploatacji nie zmieszczono się jednak w nowej normie, choć zrobiono wszystko, co technologicznie i technicznie było możliwe w tej mierze.

W 1981 R. BUDYNEK ZAMKNIĘTO

Zaprzestano produkcji benzydyny. Zamknięty budynek stoi do dziś. Nastąpił spadek zamówień, a więc także zatrudnienia. Na benzydynie bowiem opierała się produkcja około 20 rodzajów barwników, w tym także eksportowanych korzystnie do krajów kapitalistycznych. Były tanie. Włókna doskonale je wchłaniały. Niewiele ich pozostało w kapieli, a więc tylko nieznacznie zagrażały środowisku naturalnemu. Skądinąd wiadomo, że zaprzestanie produkcji barwników benzydynowych, spowodowało spadek eksportu innych rodzajów farb. Dopiero od 2 lat „Boruta” zaczyna otrzasać się z tej katastrofy. Odtwarza dawniej zaniechaną produkcję półfabrykatów.

Po przejrzeniu stanowisk w 1984 r. wprowadzono w ZPB „Boruta” 6-godzinne limity przebywania w miejscach zagra-

żonych wpływem trucizn. Pracownicy zatrudnieni w 4-brygadowym systemie pracy, zobowiązani są do obowiązkowych badań lekarskich.

ANALIZATORÓW GAZÓW W BUDYNKACH W OGÓLE NIE MA

Jeśli chodzi o przekroczenie emisji tlenku siarki, należą one do sporadycznych wypadków. Powoduje je niedbałość pracowników przy przesypaniu substancji, czasem nieszczelność instalacji. Po awarii laboratorium wykonuje 3 pomiary dla zbadania, czy przyczyna została usunięta.

Przekroczenia obecności betanofolu (substancja z tendencją do parowania) należą do przeszłości. Od lutego 1988 r. nie wytwarza się produktu, przy powstawaniu którego betanofol pojawiał się jako produkt uboczny. Poza tym do tej pory nie ma opracowanej metody badania. Na szczęście budynek, w którym powstał betanofol jest zamknięty, przynajmniej do końca 1988 r., z powodu braku zbytu.

Elektrofiltry w starej elektrociepłowni są sprawne, choć pochodzą z 1968 r. Wyapią 97 proc. zanieczyszczeń zamiast 99 proc. jak było na początku. Będą jednak wymienione na nowe. Elektrociepłownia będzie zmodernizowana, ale nie tyle z uwagi na ochronę środowiska, co z konieczności dostarczenia miastu więcej ciepła. Nowe urządzenia pochłaniają organiczną emisję zanieczyszczeń, ale ich nie zlikwidują z powodu fatalnego gatunku węgla. W polskim ciepłownictwie w dalszym ciągu nie można zatrzymać na filtrach dwutlenku siarki. Poza tym obniża się normy zawartości azotu w powietrzu.

Bez zarzutu działają cyklony do wyłapywania pyłów z gotowych wyrobów, na poszczególnych wydziałach oraz rozłożone w starej elektrociepłowni. Obecnie uruchamiania się dużo nowych linii produkcyjnych. Zakup i montaż urządzeń ochronnych nie nadają za tymi zmianami. Poza tym są to urządzenia mało skuteczne. Wydano na przykład 26 mln. zł. na urządzenia ograniczające szkodliwy chlorobenzenu, ale po uruchomieniu ich, nie spełniły one oczekiwań w dostatecznym stopniu. Nowe linie przemysłowe powstają w adaptowanych, starych budynkach, gdzie na urządzenia chroniące środowisko nie starcza już miejsca. A jeśli je się w końcu zainstaluje, to do tego czasu mnóstwo zanieczyszczeń zostaje już wyemitowanych.

ZPB „Boruta” zlecił brzożemwu Biuro Przemysłu Chemicznego „Proat” w Szczecinie — wykonanie aparatu do badań uciążliwości, dzięki któremu będzie wiadomo, jaki jest zasięg zanieczyszczeń i wtedy będzie można opracować metody ich eliminacji. Fakt ten jest mało znaczący, ponieważ udostępnione „Proatowi” dane dotyczą specyfiki i rozmiarów produkcji z 1980 r. Dane te są po prostu nieaktualne.

„Proat” ma dać odpowiedź na pytanie o ewentualne zmniejszenie strefy ochronnej wokół zakładów, która na razie istnieje tylko na papierze, bo nie ma gdzie przesiedlić ludność z tak wielkiego obszaru. Nawet najbardziej wydajne elektrofiltry nie przywrócą czystego powietrza, bowiem przy najdoskonalszych odpylaczach, co najmniej 1 proc. pyłów i gazów spadnie na miasto i okolice. Jeden procent przy tysiącach ton, to poważna wielkość, o której nie należy zapominać, a tym bardziej lekceważyć, zachylając się skutecznością zabezpieczeń już istniejących.

„Boruta” rozbudowując wydziały i podejmując produkcję półproduktów niezbędnych do wytwarzania barwników potrzebujących dużych pieniędzy na inwestycje. Znajdą się też pieniądze na usuwanie skutków, czyli leczenie ludzi już chorych i ochronę zagrożonych. Ale czy starczy pieniędzy na usunięcie przyczyn, czyli urządzenia maksymalnie usuwające zagrożenie zdrowia.

WŁODZIMIERZ KUPIŚ

Muzeum, w którym robią papier toaletowy

— No pewnie, i na książki robimy i ten jeszcze bardziej poszukiwany też! Wszystko panu powie kierownik Michella. Niech pan zaznaczy — Wacław, bo jego brat rodzony — Tadeusz jest kierownikiem drugiej papirni, tu, zaraz, po sąsiedztwie — w Karpaczu. No i co? — Wchodzi pan?... — wyjaśniła mi korpulentna szalkowniczka z portierni fabryki papieru w Miłkowie.

Pewnie że wchodzi!

— Chyba nie najlepiej pan wybrał — śmieje się kilka minut później Wacław Michella — akurat trafił pan na dwie staruszki: jeśli nie najstarsze w kraju, to na pewno jedne z najstarszych. Bo zakład w Miłkowie liczy sobie 90 lat, a papirnia w Karpaczu zbudowana bodaj została w 1892 roku. Ale czekaj pan, zadzwonię do brata, niech tu wpadnie i sam się „tłumaczy”...

— Zasypują pana makulaturą? — pytam bo gdzieś kiedyś czytałem radosne anonse o jakże opłacalnym eksporcie tejże do Jugosławii chyba.

— Są tygodnie, że za dużo jej nie ma, a ten eksport to już przeszłość. Ale ja przede wszystkim muszę się spieszyć z rozładunkiem, by nie płacić tak zwanego postojowego. Te PKP — to jest firma! Ładują mi, dla przykładu, makulaturę w wagony po cencie, moi ludzie muszą potem drzeć to wszystko kilofami.

I już za chwilę dowiaduję się, że niestety, najgorsza makulatura dociera... z Łodzi. Aby „trzymały” wagę bele papierzyś obciążane są choćby: starymi rusztami, cegłami, stałą narzedziową, deskami...

— Żyją się ożwiówek na takie historie, bo już i najlepsza odmiana makulatury, czyli „jednostka” zaśnieżona była folią, drewnem, szmatami, opakowaniami z tworzywa sztucznego. Narzekamy potem na jakość, kiepski kolor papieru.

Opowiada też pan Wacław, jak swego czasu zbliwersowała załoga papirni makulatury, w której znalazły się piękne, kolorowe kalendry ścienne z papieżem! Ludzie brali je do domu, sprzedawali, choć w większości egzemplarzy były błędy w nadrukach.

Wpada drugi z Michellów, Tadeusz, parę minut po telefonie, ale to przecież z jego firmy półtora kilometra w linii prostej. Sympatyczny, ujmujący w sposobie bycia.

— Wstyd się przyznać — żartobliwie zniża głos do szeptu — ale te nasze maszyny, stosunkowo młode z trudem już się kręcą, albo i były już wielokrotnie wymieniane, a te poniekąd wciąż pracują. Tu był cały papierniczy kompleks, mieli Niemcy jeszcze dwa własne tartaki i dwie turbiny wodne do celów gospodarczych — krótko mówiąc mieli prąd własny i parę do ogrzewania. Ale pod koniec lat pięćdziesiątych turbiny zlikwidowano, bo węgiel był tani, teraz się dopiero mówi o odtworzeniu takich urządzeń, by zaoszczędzić nieco z zużytych na dobę 42 ton węgla. Na szczęście wszystkich maszyn nie zlikwidowano, mam własną turbinę na parę, która napędza dwa generatory, prądu stałego i zmiennego. A turbina sprężona jest ze ścierakiem, resztą zajrzej pan potem, to wszystko pokazę...

— I co pan ładnego produkuje w tym swoim „muzeum”?

— Głównie papier drukowy V i VII klasy, rolowy i w arkuszach, papiery okładkowe, wie pan, takie niebieskie. Odbierałem się też robić papier na podłogę do tapet. Wymyśliłem to jeszcze w 1982 roku, kiedy brakowało ludzi, te ucześniejsze emerytury spowodowały, że nagie znaleźliśmy się w finansowym „dółku”. Zaczęliśmy od „malowanki”, we współpracy z DSP i „ARS Poloną”. Były i inne próby — to nas wtedy przed bankructwem uratowało — w sumie kilka tysięcy ton tego papieru do tapet zrobiliśmy.

Choć do 1988 roku przeznaczono na modernizację zakładu w Karpaczu półtora miliarda złotych, nikt na dobrą sprawę nie wie, kiedy (i czy na pewno kiedykolwiek) ruszy tu zapowiadana, nowoczesna maszyna produkująca tak zwany „skocz-bend”, czyli — papier twardość szczytny. Pomijając urodę nazewnictwa — bardzo potrzebny, poszukiwany do opakowań wszelkiego typu margaryn, smalcu, tłuszczów.

— Pański zakład, jako młodszy, zapewne poczeka jeszcze dłużej? — dopytuję się Wacława Michelli.

— Wszystko na to wskazuje. Choć i u mnie zapowiadają się mała modernizacja, która objąć ma przede wszystkim sieć ciepłą i napęd maszyni kartonowej. Zapowiada się też — na razie nieśmiało — zakup włoskich maszyn do przetwarzania papieru toaletowego. Dzisiejsze warunki pracy to niemal dziewiętnasty wiek...

Ruszymy przez podwórkę w kierunku drzwi z dziwnym napisem „Holendrownia”. W ogromnych kadiach przewala się wstrętne, szara breja.

— To hydropulpery, to kolopioty, a to fortrapy, tu się przygotowuje masę, rozdrabnia, rozciera, a przede wszystkim oczyszcza...

głos przewodnika dociera do mnie to z boku, to gdzieś z góry, z metalowych ganków i pochylonych. Wszędzie ślisko, mokro. Stalowymi schodami woda plynie. Strach nachylić się nad wielką halą, bo moment nieuwagi i — można posłużyć za surowiec na kartony. Znowu seria kadeł, jeszcze jakieś beczki z klejem...

— Dlaczego ta masa papierowa taka brudna? — krzyczą poprzez wszechobecny hałas

— A jaka ma być? — słyszę z góry lekko kpiące. — Dawniej na makulaturze pisano jakieś farby tam były użyte, ale teraz wszyscy mają wszystko w... — reszty muszę się domyślić.

Jesteśmy w głównej hali, gdzie „papier i sycy”, dyszy i dmucha” długą maszyną katonową. Rząd walców, długości — bagatela — około 60 metrów, a między nimi przewija się cienka wstęga papieru. Najpierw jest to tylko rozcieńczona breja wyłana na cienki podkład z filcu, później dochodzą lepsze jakościowo dodatki (nawet karton z jednej strony musi mieć przyzwyczajony wygląd...), wreszcie, gdzieś w połowie długości maszyny — zaczyna się etap suszenia.

Jestem kompletnie zły potem. Praca tutaj przypomina przydługą wizytę w saunie. Rzucam jeszcze okiem na sterty brązowych biletów PKP, produkowanych z eleganckiej... celulozy (dlaczego nie z makulatury wyłącznie?... i w ślad za panem Wacławem znikam za metalowymi drzwiami.

Tu powstaje nasz drogocenny, jakże poszukiwany, choć nie zawsze delikatny Papier Toaletowy! Technologia podobna, choć maszyna nieco krótsza i jakby łoskot także nieco mniejszy. Tylko znowu ta piekielna sauna...

Na niewielkie roleczki, za którymi uganiamy się po sklepach papierniczych, idzie makulatura, trochę ścieru, najgorsza celuloza.

— Dlaczego taki twardy, pyta pan? — mój przewodnik zastanawia się przez chwilę. — To stare, zużyte urządzenia, brak części zamiennych doń, ale nie tylko. Reżymy technologiczne wymagają dokładnego, dłuższego niż obecnie stosujemy przemiatu papierowej masy, dokładnego rozdrobnienia. Tylko że plany produkcyjne tutaj „zabawny” nie przewidują i na maszynę trafia surowiec nie zawsze dobrze przygotowany...

— A dużo tego papieru toaletowego, jaki by on nie był, może pan tu wyprodukować? — wiem, że to tylko jeden z producentów, ale może jakaś pocieszająca wiadomość...

— Około 260 ton miesięcznie. Czyli inaczej 220 milionów rolek rocznie. Ja przede wszystkim wytwarzam karton, jednostronnie i dwustronnie kruty celulozowy, w ilościach około 600 ton miesięcznie...

Zegnam się powoli, bo czas biegnie a chcę jeszcze zajrzeć do „muzeum” brata, w Karpaczu.

Michella, ale Tadeusz — już na mnie czeka. I od razu zaprasza na przechadzkę tłumacząc z dumą, że niewiele już tego typu czynnych papirni pozostało w świecie. Dołącza do nas Czesław Hadam — kierownik produkcji, który w tempie karabinu maszynowego, skutecznie przekrzykuje pisk, szcęk i syk maszyn tłumaczy:

— To wie pan, to prawie nowa maszyna, jak wynika z zachowanych dokumentów, była modernizowana w 1935 roku, właściwie nie się nie psuje, o, te gładziki, od których zależy gładkość końcówki papieru, robi dla nas eksperymentalnie huta „Warszawa”. Przygotowana masa czyli celuloza, ścier i wypełniacze idzie do „rafki”, o, tu, tam są wyłapywane jeszcze raz różne zanieczyszczenia, masa wędruje na sita, proszę, idziemy dalej, tu się już lekko spłisnia, tu woda jest już odprowadzana, to widać, prawda, filce odciągają wodę, masa już spłisniona wyraźnie, teraz pod parę, następuje stopniowe ogrzewanie i schładzanie, tak, tam już jest gładzony, ostatnie suszenie, ciecnie na „rolaparcie”, o, i takiego papieru robimy około 13 ton średnio na dobę...

Kociol, pożerający na dobę 42 tony węgla, przypomina niewielki blok mieszkalny. Obsługa dumna, jakby pracowali przy ostatnim osiągnięciu w dziedzinie kotłów parowych. Obok — turbina firmy AEG, dająca przy 5.400 obrotach 1280 kilowatów mocy, napędzająca dwa generatory — prądu zmiennego i stałego. Wyrażna tabliczka z rokiem budowy (a może też modernizacji tylko...) — 1935. Huk i łoskot dobiegający z pomieszczenia obok oznajmia, że tam pracuje o rok starszy „ścierak”.

I na zakończenie — rarytas — maszyna nieco krótsza, ale szersza, gmatwanina kół, cylindrów, pasów transmisyjnych. Wszystko to wyję, piszczy, łomocze, ale — pracuje niemal bez przerwy, przez 11 miesięcy w roku, od Anno Domini 1892! I nikt tak na dobrą sprawę nie wie, jak długo przyjdzie jej jeszcze pracować. Ale rzeka staruszka wcale się tym nie przejmie...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

„Boruta” nad Zgierzem

Lech Gorzycki podkreślił, że schorzenia te dotyczą przede wszystkim osób, które przepracowały 20 i więcej lat w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Ich czas pracy przypadł na okres, kiedy nie stosowano zabezpieczeń na taką skalę jak obecnie.

Liczba zachorowań stale zmniejsza się ponieważ awarie natychmiast ją podnoszą. Lech Gorzycki nie przypominał sobie, aby w ostatniej pięćdziesiątce nastąpiła śmierć bezpośrednio na skutek działania trucizn. Źródło nowotworów, tzn. benzydyna, zostało wyeliminowane w 1981 r.

Przychodnia i szpitalik Przemysłowej Służby Zdrowia, choć położone w bezpośrednim sąsiedztwie zakładów, są utrzymywane przez ponad 20 przedsiębiorstw i służą ich pracownikom. Patroni nie szczędzą dawiz na pomoc przy zakupie specjalistycznego wyposażenia. W pawilonie szpitalnym, liczącym obecnie 43 łóżka (w przybudówce zostanie oddanych dalszych 11), gros pacjentów leczy schorzenia serca, a nie choroby zawodowe. Choroby serca stały się teraz najgroźniejsze.

Dyrektor Lech Gorzycki nie potrafi rozpoznać na ulicy robotnika z „Boruty” po jego nie naturalnej cerze, nie wyklucza jednak okresowych przebarwień skóry i włosów z powodu ciągłej pracy przy barwnikach.

W 1982 r. stwierdzono w „Borucie” 7 nowotworów pęcherza moczowego, 1 przewlekłe zatrucie substancjami chemicznymi i 2 przewlekłe użyczenia skóry. W 1985 r. m.in. 4 zatrucia, 2 wypadki zapalenia oskrzeli, 2 uszkodzenia słuchu i 1 guz pęcherza moczowego. W statystykach zakładowych do 13 października 1986 r. zarejestrowano 1 zatrucie, 1 nowotwór pęcherza, 2 przewlekłe zapalenia oskrzeli. Poza tym u emerytowanego przed 15 laty pracownika wystąpił nowotwór pęcherza. Badania mają wykazać, czy można to uznać za chorobę zawodową.

Jeśli już o statystyce mowa, to trzeba uświadomić sobie, że przy ogromnej fluktuacji kadr (4,5 tys. zatrudnionych na początku obecnej dekady wobec 2,3 tys. obecnie — plus naturalne odejścia emerytów i tych, co szukają zdrowszej i lepiej płatnej pracy), wiele guzów nie zostaje wykrytych podczas badań w przyzakładowej przychodni, a zgromadzi po latach, będącymi ich konsekwencją, nie objęta już się przedsiębiorstw, bo za późno na to! W ogóle skutki chorób zawodowych w przeważającej części ujawniają się po wielu latach i nie można się ich doliczyć.

Zagadnienia związane z zaprzestaniem używania benzydyny, uzupełnił kierownik działu BHP z ZPB „Boruta” — Tadeusz Dziechciarz. Zgierskie zakłady były ich jedynym producentem w kraju i za granicą. Objęto ją normą Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Wynosiła ona najpierw 0,05 mg. na m. sześć, od 1974 r. — 0,005 mg. na m. sześć. Aby sprostać nowym rygorom, zakłady wyda-

ły wówczas 120 mln. zł. Wybudowano fabrykę benzydyny dla poprawienia bezpieczeństwa pracy. W czasie 6-letniej jej eksploatacji nie zmieszczono się jednak w nowej normie, choć zrobiono wszystko, co technologicznie i technicznie było możliwe w tej mierze.

PO PRZEPRACOWANIU 20 LAT

w warunkach szkodliwych albo w krótkim czasie na wniosek lekarza-specjalisty bądź na własne życzenie, pracownik przechodzi na inny wydział. Decyzję o tym podejmuje zakładowa komisja społeczno-lekarska.

Nowo przyjmowany robotnik jest informowany o zagrożeniu zdrowia, jeśli nie będzie przestrzegał BHP. Przed zatrudnieniem przestrzega się uczniów szkolnictwa przyzakładowego. Pomimo szkoleń, instrukcji i ostrzeżeń nadzoru, robotnicy zasilający w stolowce do jedzenia z rękami uwalnianymi chemikaliami. Aby wykonać szybkiej pracę, przesympują barwniki w takim tempie, że chwilowe przekroczenia normy wzrastają niebotycznie. Zatrucia zdarzają się przede wszystkim podczas awarii, np. rozlania się trujących cieczy w wyniku nieuwagi. Uniknięcie niebezpieczeństwa w 80 procentach zależy od człowieka. Najnowocześniejsza technologia nie ochroni zdrowia, jeśli ktoś nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia.

Kierownik Tadeusz Dziechciarz tłumaczy, że przebarwienia skóry na rękach (dłonie), na stopach i piętach dotyczą około 2 proc. wszystkich zatrudnionych. Cierpią na nie robotnicy z mińców. Żółtkie naskórek. Ręce wyglądają tak jak u nalożonych palaczy. Jest to dla skóry nieszkodliwe. Nie powoduje alergii. Przebarwienia można porównać z siwieniem włosów: u jednych występuje wcześniej, u drugich później.

Nowotwory pęcherza moczowego są leczone w klinice onkologicznej w Łodzi. Zdarza się, że wyliczony pracownik wraca na poprzednie miejsce pracy. Odszkodowanie za stwierdzenie inwalidztwa I grupy, a więc całkowitej niezdolności do pracy, powstałej w wyniku zmian nowotworowych, wynosi 100—120 tys. zł. Łącznie na odszkodowania za choroby zawodowe oraz wypadki ZPB „Boruta” wypłaciły w 1985 r. 867 tys. zł. Inną niż raport wersję sytuacji w „Borucie” przedstawia Jadwiga Kulesza, kierownik Laboratorium Wydziału Bezpieczeństwa Technicznego. Przede wszystkim brakuje w nim pracowników, 3 osoby odeszły. Jedną przyjęto, ale przysposobienie do pracy potrwa kilka miesięcy. Co 2 miesiące przeprowadza się badania zagrożenia stanowisk pracy, a przy rozpuszczalnikach co miesiąc. Robią to 4 laborantki.

Zamontowano, owszem, nową aparaturę pomiarową, ale jest ona gorsza (silniczek, ciężar) od kupionej przed 10 laty! Nie są to automaty, wyniki otrzymujemy się dopiero po analizach laboratoryjnych.

ZPB „Boruta” nie dysponują analizatorem gazów wydostających się ze składowiska odpa-

zastugi, działalność w różnych organizacjach.

— Ojciec był senatorem z listy Prezydenta — mówił syn. — A wie pan, czym był Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem?

— Wiem.

— No więc, mnie także wytykano poglądy ojca i jego działalność.

— Na Retkini mówią, że to był zwykły drobny rolnik... Dobry gospodarz, dobry kolega i sąsiad. Chciał wolnej, sprawiedliwej Polski, w której chłop byłby szanowany.

— Ano właśnie! — podchwytuje ze wzruszeniem. — Ojciec nie przepił zarobionych pieniędzy. Miał dwa hektary, dokupił pięć gospodarzy. A jak pojechał z kolegami na wieś, widział tę chłopską biedę i pomagał ludziom. Przyjmowano go biednie, ziemniakami i zsiadym mlekiem, więc wyjmował dwa-

o niepodległość, budzenie ducha polskości i patriotyzmu, tworzenie milicji obywatelskiej. Założycielami koła PSL byli m.in. Błażej Stolarski, Franciszek Płoczek, Wawrzyniec Muras, Głazewski, Ignacy Klimczak. Stało się to dokładnie 16 lipca 1916 roku, nazajutrz po kolejnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem.

Entuzjazm z uzyskania niepodległości był tak wielki, że gdy w 1920 r. Armia Czerwona popędziła nam kota i stanęła pod Warszawą, na Retkini wiecował dwutysięczny tłum i wielu retkiniaków poszło na ochotnika na front.

W tym roku Gabriel Płoczek, pełniący funkcję sekretarza koła ZSL, zapoznając stopniowo członków z historią ruchu ludowego na Retkini, a główną uroczystość związaną z 70 rocznicą ruchu ludowego odbył się 6 grudnia.

— Pan także ma w tym swój udział — rzucam półgłosem.

— Zaczynałem od harcerskiej. Średnią szkołę ogrodniczą

się wyraźnie Płoczek, aż głos zalamuje mu się ze wzruszenia. — W naszym kole ZSL mamy 34 ludowców, w tym 12 kobiet. Mamą taką młodą lekarke, której ojciec wyprowadził się po wywłaszczeniu, a ona została w naszym kole ZSL. Zebrania odbywają się tradycyjnie, w niedzielę o dziesiątej, jak ludzie wyjdą z kościoła. Kłopot z tym, że cała Retkinia budowała Dom Ludowy, a potem się okazało, że on nie nasz. Zawodowa straż pożarna wyrzuciła nas na podwórko, dając w zamian dwa pokoiki w komórkach. Ale nawet tam nie można było przez jakiś czas wchodzić przez strażackie podwórko...

Do pokoju wbiega trzyletni chłopczyk.

— No, jak się mówi? — pyta z uśmiechem dziadek.

Wnuk milczy, nieco strapiiony.

— Cześć! — mówię.

— Cześć! — odpowiada mały, przytula się do dziadka i

Portret zbrodniarza „Gibona”

EUGENIUSZ IWANICKI

Wieczór był chłodny: co prawda nie było już śniegu, lecz ostry wiatr wciskał się każdą szparą i nie pomagały żadne ciepła ani okrycia. Andrzej M. chowając twarz w kurtkę i wciskając głęboko ręce w kieszenie kurtki spieszył do matki mieszkającej na ulicy Łagiewnickiej 39/43.

Ma własny klucz. Okazało się, że drzwi były zamknięte jedynie na zamek i to przekręcony zaledwie jeden raz. Matka nigdy tak drzwi nie zamykała. Zapalił światło. Całe mieszkanie było zawałone rzeczami wyrzuconymi z szafy, pościelą, pościelą i rozrzuconą, poprzewracaną meblami. Gdzie matka? Wszedł do łazienki — i aż krzyknął! Z wanny wypełnionej wodą wystawała noga, reszta ciała znajdowała się pod wodą.

Na jego krzyk zbiegli się sąsiedzi. Ktoś pobiegł do telefonu. Była godzina 20.45, 9 kwietnia 1988 r.

KIM BYŁA ZAMORDOWANA?

Marianna Zdzisława M. rocznik 1935 od jakiegoś czasu pozostawała na rencie chorobowej ze względu na paraliż, który utrudniał jej swobodne poruszanie się. Rozwódka. Jej były mąż żył w niezgodzie z kodeksem karnym i kiedy za udział w kolejnej bójce (w której wybito mu oko) otrzymał 10 lat więzienia. Marianna M. wystąpiła o rozwód.

Zyla samotnie ze skromnej renty i dochodów uzyskanych ze sprzedaży alkoholu. Wódkę sprzedawała jedynie osobom jej znanym, przeważnie lokatorom z bloku, w którym mieszkała.

Z małżeństwa z owym zadziornym człowiekiem urodził się jej syn Andrzej. Synalek odziedziczył wszystkie ujemne cechy swojego ojca pomazując je o fantazję i wybujały temperament seksualny. Do tego od najmłodszych lat cierpiał na nieuleczalny wstręt do wszelkiej pracy. Tak więc nieustannie przebywał na utrzymaniu Marianny M.

Andrzej ożenił się dość wcześnie, bo niżej mógł poradzić sobie ze swoim temperamentem i potrzebami seksualnymi. Matka początkowo sadziła, że małżeństwo go uleczy. Niestety, myliła się. Andrzej przyszedł do szpitala gwałtami. Po którymś kolejnym gwałcie towarzystwo wpadło i Andrzej na 7 lat powędrował na państwowy wójt i opiekunek, pozostawiając w żalu matkę oraz żonę z małym dzieckiem.

Zona Andrzeja M. szybko znalazła sobie innego męża i kiedy Andrzej wyszedł z pudła już miała drugie dziecko. Ale i ten drugi mąż się nie sprawdził, więc go wygoniła. Właśnie była po drugim rozwodzie, kiedy do jej drzwi zapukał Andrzej. Przyrzekł, że więcej nie będzie błądzić i chce z nią zamieszkać razem. Co miała robić? Dwoje dzieci to nie przelewki, a ona zarabiała tyle, co kot napłakał.

Andrzej M. jakby się zmienił i nie zmienił. To znaczy, jakby zmienił, ale do pracy nadal czuł niechęć. W ciągu trzech miesięcy od opuszczenia więzienia przepracował zaledwie trzy tygodnie, po czym wrócił na utrzymanie matki.

KTO TO MÓGŁ ZROBIĆ?

Z zebranych od sąsiadów denatki informacji wynika, że ów Andrzej miał tu jak najgorszą opinię, że bardzo często przyprowadzał do matki na wódkę różnych swoich kolegów, nierazko poznanych w czasie wspólnej odsiadki w różnych więzieniach. Niekiedy wprost sugerowali, że synalek jest zdolny do wszystkiego, że to zbroj, alkoholizm i narwanie.

Rozpoczęły się, jak to się mówi, czynności rutynowe: a więc ustalenie kto, kiedy i o której po raz ostatni widział żywą Mariannę M. Przesłuchano najbliższych sąsiadów, a także tych, którzy kupowali u niej wódkę. Ludzie mówili różnie, ale nikt nie konkretnie nie wiedział. Oto ktoś słyszał rano rozmowę w mieszkaniu Marianny M. (głos męski i kobiecy), ktoś inny pamięta, że wieczorem, a właściwie w nocy słyszał spuszczenie wody w ubikacji, a jeszcze inny okrzyk „ratunku!”, ale zaraz jakby przerwany, zresztą potem był niby pisk czy skamlenie. Są to wszystkie rzeczy drobne, właściwie fragmenty pozbawione większego znaczenia, choć mające wartość dla czynności śledczej. Ekipa prowadząca dochodzenie musiała jednak ułożyć cały obraz zająca, choć czynność ta jest podobna do układania wielokolorowej mozaiki z rozrzuconych i wymieszanych mocno kamyków.

W opowieściach sąsiadów pojawiał się jednak wspólny motyw: oto do Marianny M. przychodził jakiś młody mężczyzna, prawdopodobnie kumpel jej syna. Niestety, nikt go bliżej nie znał ani nie wiedział, gdzie mieszka. Dopiero była żona Andrzeja powiadziła, że owszem, bywał tu taki, ale ona wie tylko tyle, że mieszka on gdzieś w okolicy Sokolnik.

I ta informacja stała się najważniejszym ogniwem w długim łańcuchu poszukiwań lub stosując porównanie z mozaiką — kostką, która wypełniła obraz. Jeszcze tego samego dnia, milicjanci dotarli do Zbigniewa Jana D., pseudo „Gibona”.

APETYT NA STARUSZKI

Zbigniew Jan D. rocznik 1959 z zawodu mechanik — ślusarz, kawaler, nigdzie nie pracu-

Czego nie zalał beton

dziesiąta złotych, kupował kury do zabicia i wszyscy jedli porządny obiad...

Płoczek przerywa, bo serce i zadyszka dają o sobie znać. Potem mówi, że jego w Polsce Ludowej wyrzucano tylko dwa razy. Raz, na dwa tygodnie, ze szkoły oficerskiej, drugi raz z ZMP. Walczył z bandami w Lubelskiem i Białostockiem i po czterdziestu latach doczekał się jedynego dotąd, wysokiego odznaczenia, właśnie za utrwalanie władzy ludowej. Krzyż Partyzancki za wieloletnią działalność bojową w Armii Krajowej ma podobno dostać z Londynu. Ale dziś gorczy i żal jakby się już rozwiali.

— Gdy czulem, że mnie nie chcą — mówi z gorzkim uśmiechem — sam odchodziłem. Może gdyby wszyscy tak postępowali, nie byłoby tych zakrętów historycznych?

— Gdyby najlepszy odeszli, byłoby gorzej.

— Prawdziwy chłop, z chłopską duszą, nie czyni zła, prosi pana. Chłop nie jest tak zmanierowany jak inni. To wiesz pierwszą wysłał z kryzysu i żył do dziś. Taka jest prawda, żadna demagogia...

— Ile pan ma lat? — pytam.

— Sześćdziesiąt trzy. Urodziłem się 3 października 1923 roku, w niecałe dziesięć miesięcy po zamordowaniu prezydenta Gabriela Narutowicza. Ojciec był patriotą, człowiekiem postępowym, więc postanowił nadać mi imię Gabriel.

— A więc początki ruchu ludowego na Retkini zna pan z opowiadań ojca.

— Tak, i z dokumentów.

Znowu sięga na półkę pod telewizorem. Ma tam całe archiwum bezcennych, historycznych dokumentów. Min. protokoły z zebrania Koła rolniczo-go na Retkini, pisane w imię Boże przez księdza. Z dokumentów tych można się dowiedzieć, iż podczas międzywojnia Retkinia była „Małą Rzeczpospolitą”, ostoją nie tylko ludowców, ale i katolików, i komunistów. Obok siebie działały KZMP, „Wiciowcy” i komórka KPP.

Bogata to archiwum Płocka, nie na próżno przewodniczył komisji historycznej WK ZSL w Łodzi.

— W 1905 powstała spółdzielnia na Retkini — wymienia chronologicznie — a w 1912 Koło rolnicze. W 1913 Drużyna Strzelecka, a we wrześniu 1915 r. — Polska Organizacja Wojskowa. Legioniści szkolili tu powoźników, organizowano wiece. Ludzie nie dali się skaptować zaborem, była świadomość narodowa i głęboki patriotyzm. Na Retkini działała biblioteka Macierzy Szkolnej i dwie biblioteki prywatne, jedna u mojego ojca.

Rozkłada na stole poślinka ze starości broszurę. To „Jednodniówka POW”. Zsuwa okulary na czubek nosa, trudno mu czytać, ale on zna te teksty niemal na pamięć. Dowiaduje się więc, że gdy w 1916 roku Rosjanie opuścili Łódź i zrobił się pewien „luz”, na Retkini postanowiono założyć koło Polskiego Stronnictwa Ludowego, które później przyjęło nazwę „Wyzwolenie”. Nie szło wówczas o typowe chłopskie sprawy, lecz o mobilizowanie do walki

kończyłem w Kijanach, w byłym powiecie lubartowskim. Potem wojna, BCh i AK, a zaraz po wyzwoleniu zakładam ZMW „Wici”. Utrwalam władzę ludową, a w 56 r. znowu reaktywowałem „Wici”. W tym międzyczasie ukończyłem studia rolnicze w Olsztynie i byłem nauczycielem szkół rolniczych. A w 1980 r. znowu pomagałem młodym tworzyć koła ZMW, chociaż niektórzy zarzucali mi robienie struktur ZSMP.

— Ktoś napisał, że sprzedał pan Retkinę.

— To nie było tak! — odpowiada ze śmiechem. — Czy pan myśli, że nie było mi żal pa-trzeć, jak ziemię ogrodniczą, II i III klasy, po drugiej stronie drogi zalewa beton? Przecież można było budować po stronie Zagrodników, gdzie bieda i najgorsza ziemia. Kiedyś na Retkini było około 240 gospodarstw z prawdziwego zdarzenia, a dziś jest chyba 14 czynnych rolników, bo tych, co mają poniżej hektara, nie liczę. W posiadaniu rolników zostało 112 ha ziemi uprawnej...

— Trzeba się było kłaskać pod buldożery...

— A co, nie kładliśmy się? Jak pan chce wiedzieć, to przez moje podwórko biegnie wodociąg. Przyjechali z koparką, ale bez zezwolenia, więc nie wpuszcili. Potem przywieźli więźniów, którzy kopali topatami, żeby nie nie uszkodzić i od razu wywózili ziemię i przywieźli piasek do wyrównania działu. Ci więźniowie szepotali, że z tego Płocka musi być szychy albo sukty. A ja tyle tylko zyskałem, że na VII Kongresie ZSL wywalczyłem znaczną podwyżkę cen za wywłaszczoną ziemię. Ale te biedne Zagrodniki i tak dostali po starej cenie... Kiedyś z tamtej strony torów słychać było wieczerę rżenie koni, munczenie krów, ludowe przyspiewki, a teraz czasem ryk na stadionie, kocią muzykę w blokach i pijane śpiewy w mieszkaniach. No, ale to już w latach sześćdziesiątych powstał plan „rozkulaczenia” Retkini. Tymczasem ludzom, że na to nie ma siły, bo miasto musi się budować...

Gabriel Płoczek urywa i milczy przez jakiś czas, pograżony w zadumę. Patrzę w pełne słońca południowe okno, za którym jakieś szklarenki i koniec wsi, bo dalej już kolorowe domki z tarasami pięknego osiedla Pienista. Nikt nie pisał w tamtych czasach o nagłych zgonach. Samobójstwa z rozpaczem... Ale przecież tej starej Łodzi, temu miastu z „Ziem O-biecaną” i „Kwiatów Polskich”, należało się nowe budownictwo. Musiały zniknąć rynsztoki, cuchnące śmieci podwórka, syplące się kamieniczki czynszowe. Ktoś musiał odejść, aby dziesiątki innych mogło gdzieś mieszkać.

— Panie Gabrielu — podejmuję — przecież nie wszystko zalał beton?

— Ano, nie! Mam jeszcze Koło rolnicze, wchodzące w skład SKR, do którego należy 22 członków oraz 38 kobiet w Kole Gospodyń Wiejskich.

— No i jeszcze się coś ziele-ni, tak na ludowo...

— A jakżeby nie! — ożywia

RYSZARD BINKOWSKI

Człowiekowi przed sześćdziesiątką, ośmiędziesięcioletek jawi się jako trzysząca masa usadzo- na na stałe w foto- lu, wymagająca stałej opieki siostry miłośniczki lub pogę- bionej obowiązkami rodziny. Nieliczne przypadki zachowania w tym wieku jasności umysłu i jakiejś takiej sprawności fi- zycznej — potwierdzają obiego- we opinie. Lecz 81-latek, któ- ry po bardzo aktywnie spędzo- nym dniu, wchodzi o dziewiątej wieczorem do swojej pracowni, by malować, co — nierzadko — południa następnego dnia, to już nie jest wyjątek — to, ewe- nement.

Tak właśnie spędza jesień swojego pracowitego żywota Zygmunt Karolak, nestor pol- skich artystów malarzy, od 1947 roku mieszkający w Sopocie. Kto- kolwiek spojrzy na jego twarz bez zmarszczek, dostrzeże blask w oku i ulegnie czarowi nieo- kiełzanego temperamentu, nie uwierzy, że mistrz ma właśnie 81 lat. A kto nie dostrzeże i nie ulegnie — też nie uwierzy — tak świetnie wygląda ów starszy pan.

Niespotykana pracowitość od początku artystycznego życiory- su, cechuje tego niewysokiego, drobnej budowy człowieka. Jak- ko jeniec oflagu, w ciągu dwóch posiedzeń (razem około 7 go- dzin) wykonał 80 szkiców wę- glowych z obozowego przedsta- wienia „Dam i huzarów”. Gdy z tych prac urządzono ogrom- ną wystawę w hali sportowej, nikt nie chciał wierzyć, że to wynik siedmiu godzin pracy.

Tylko w latach 1939—46 Ka- rolak wykonał przeszło 6.000 ry- sunków i szkiców.

— Wstydę się takiej ilości — mawiał wtedy — ale muszę. Ciężka praca jest dla mnie przynusem. Moja sztuka zabije mnie kiedyś, zginąlbym.

Dziś mówi: — Tylko możli- wość malowania trzyma mnie przy życiu. Gdybym nie mógł pracować — zginąlbym.

Ilość swoich prac olejnych oblicza na około 3.000, a liczby akwarel, szkiców, rysunków nie jest w stanie podać nawet w grubym przybliżeniu.

Obrazy olejne wielokrotnie przemalowuje, poprawia, zmie- nia, ulepsza. W czasach odleg- łych i mniej odległych, gdy by- ły trudności ze wszystkim, gdy nie miał płótna i biejtram; za- malowywał gotowe dzieła, by na nowym gruncie tworzyć no- we obrazy. Bo, jak mówi: *zaj- mi każdej nie przepracowanej godziny, która już nie wraca.*

Zygmunt Karolak urodził się w 1903 roku w Kaliszu. W la- tach 1925—30 studiował w Kra- kowskiej Akademii Sztuk Pięk- nych na wydziale malarstwa, w pracowni prof. Wojciecha Weis- sa. Pełnił go go prof. St. Kamocki, grafiki artystycznej — Jan Wojnarski, rysunku — Władysław Jaroński, a rzeźby (przez jeden rok) prof. Xawery Dunikowski. Uczelnia tę ukoń- czył z postępowaniem bardzo dobrym, jak to się wówczas nazywało.

W roku 1938 zostaje zauwa- żony przez krytyka artystycz- nego Diensta-Dąbrowę, który na łamach „Ilustrowanego Ku- riera Codziennego” (IKC-a) po- święca mu, jako jednemu, kilkanaście zdań recenzji, z o- kazyj wystawy zbiorowej środo- wiska. Pozostałych kilkunastu- ciu autorów, w tym byłych pro- fesorów Karolaka, wymienia

tylko z nazwiska, w porządku alfabetycznym. W tym samym czasie dostrzeż go poznańska „Kultura” piórem krytyka Ja- nusza Teodora Dybowskiego, brata późniejszego ministra kul- tury i sztuki.

W roku 1939 powołany do armii, bierze udział we wrześ- niowej bitwie nad Bzurą i jako jeden z najmłodszych oficerów (w stopniu podporucznika) do- wodzi kompanią 28 Pułku Strzelców Kaniowskich. Tam zostaje ranny, do dziś nosi w piersi odłamek pocisku, a na pierś Virtuti Militari i Krzyż Walecznych, i dostaje się do niewoli. Należy do grupy ofi- cerów, którzy przeszli etap: Prenzlau — Neubrandenburg oraz Gross-Born — Sandbostel — Lębeka, to oczywiście szlak obozów jenieckich (oflagów). Działalność w zawiązanych obozowych sekcjach plastyków i (z powodu braku materiałów malarskich) rysuje, rysuje, ry- suje.

Po wyzwoleniu mieszka jakiś czas w Lubecie, gdzie wspólnie z przyjacielem — malarzem Czesławem Stefańskim urządzają wystawę swoich prac. Wzbu- dziła ona ogromne zaintereso- wanie i była prawdziwym wy- darzeniem wśród kół artystycz- nych na tamtym terenie. Nas- tępnie zaproszeni przez Polską Misję Repatriacyjną w Bad Oeynhausen urządzają wspólnie 22 lipca 1946 roku wystawę o- brazów przy Głównej Kwaterze Brytyjskiej Armii Renu, dla przedstawicieli państw zagra- nicznych.

W roku 1947 wraca do kraju, osiada w Sopocie i mieszka tam do dziś. Przez wiele lat był dziekanem wydziału malarstwa sopockiej, a później gdańskiej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycz- nych.

Dom państwa Karolaków do- maga się osobnego opisu. Ar- tysta mieszka z żoną, wspania- łą i dowcipną panią domu, któ- ra zapewnia mężowi komfort pracy i wypoczynku. Wyciszone, spokojna, dyskretnie obecna, często — niczym oliwa wzpu- rzona fale morskie — uspokaja i tonuje gwałtowne wybu- chy temperamentu mistrza, niczym cierpliwa opiekunka niesforne- go urwisia. Stosunek do siebie tych dwojga biegunowo różni- cych się charakterami ludzi, jest wzruszający.

Dwie córki (Przemcia i Ja- gódka) mieszkają stale w Pa- ryzu i na tamtym trudnym ry- nku zaczynają być zauważane ja- ko młode zdolne plastyczki: rzeźbiarki i malarki. Odwiedza- ją często rodziców, a i rodzice bywają u swoich córek od cza- su do czasu.

Ale wracajmy do domu. Pierwsze piętro międzywojennej willi, należące do profesora (tak zwracają się do Karolaka bli- si i dalsi znajomi), to prawdzi- we muzeum. Gdańskie meble z najlepszego okresu, angielskie stojące zegary, dziesiątki bibe- lotów, posągów, rzeźb, drobiaz- gów artystycznego wyrobu z różnych epok, no i oczywiście — obrazy. Imponujących roz- miarów kopie dawnych mistr- zów, w mistrzowskim wyko- naniu Karolaka zdobią ściany salonu. A pod ścianami, na podłodze, piętrzą się sterty gru- bych tek, opuchniętych olbrzy- mią ilością prac artysty.

Siedzimy przy dużym dębo- wym stole, dzwiczne uderze- nia angielskich zegarów odmie- rza miążące niepostrzeżenie godziny: to osobowość gospodar- za i jego barwne, dynamiczne



Portret G. R. Ołówek.

Wizyta w lepszym świecie

MAREK KOPROWSKI

opowieści sprawiają, że pół dnia minęło niczym chwila.

Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie: w Warsza- wie, w „Zachęcie”, wiosną 1986 roku. Państwo Karolakowie by- li tam z okazji wielkiej między- środowiskowej wystawy plas- tycznej, podsumowującej rok 1985. Oburzali się wtedy, że jego prace wleśnięto w najodleglej- szy kąt ostatniej sali, zawle- szono w najwyższym rzędzie i odwrócono od nich punktowe reflektorki, by ginęły w mroku. Tak rzeczywiście było.

(Parę lat wcześniej, w 1978 roku miał w tejże „Zachęcie” ogromną wystawę indywidual- ną, ponad 780 prac wypełniało całą galerię. Trwała zaledwie dwa tygodnie, bo następny ter- min mógł być realny dopiero za dwa lata. Mimo, iż obiecy- wano wtedy trzy lub cztery miesiące prezentacji, Karolak wybrał te skromne dwa tygod- nie, bo, jak stwierdził z realiz- mem pozbawionym kokieterii: — *dwa lata, to termin zbyt od- legły dla człowieka w moim wieku i może stać się nierealny na zawsze. Mimo dobrej kon- dycji, jaką się dzisiaj cieszę. A wystawa i tak stała się sukces- sem autora. Entuzjastyczne wpi- sy do księgi pamiątkowej, m.in. Krzysztofa Kąkolewskiego i Antoniego Rząsy, i sporo głosów oburzenia, że „taka” wystawa, a tak krótko trwa, dały należą- ną i potrzebną (jak każdemu artyście) satysfakcję talentowi Zygmunta Karolaka).*

Znów przypomina tamte zyka- ny, dodając wiele nowych szczegółów na poparcie własnej tezy, że jest niszczone — jak się wyraża — przez środowisko plastyków; miejscowych i war- szawskich.

— Mam masę wrogów. To dlatego, że rąbię prawdę w o- czy i nie oglądam się, do kogo mówię. Szły mi buty od po- czątku. Gdy przyjmowano mnie do WSSP, zaproponowali mi stanowisko adiunkta — człowie- kowi z dyplomem Akademii — podczas gdy rzadził nami rektor bez matury, jakeśmy go tu wszyscy nazywali.

Karolak mówi językiem bar- wnym i dosadnym, gestykulując mocno, często wstaje od stołu, właściwie więcej stoi i chodzi

po pokoju, niż siedzi na krześ- le.

— Bojkotuję mnie, nie chcę o mnie pisać, ale ja się tym nie przejmuję. Moja praca przemawia za mną. A wiem, że to, co i jak robię — i że jeszcze w ogóle mogę robić — jest zna- drą w tyłku dla wielu kolegów po fachu.

Nie mam powodów, by nie wierzyć profesorowi. A jakby potwierdzeniem jego słów jest „Bedecker sopocki”, wydany w 1981 roku przez Wydawnictwo Morskie w Gdańsku, gdzie ani pod hasłem „Plastyka i plasty- cy”, ani „Festiwal Sztuk Plas- tycznych”, ani wreszcie „Wyższe szkoły” — nie uświadczy się nazwiska Zygmunta Karolaka, podczas gdy znajdziemy kom- plet nazwisk znachorów i szarla- tanów grasujących w Sopocie i okolicach. Autorem przewo- dnika jest Franciszek Mamusz- ka, były kustosz Muzeum Pom- morskiego w Gdańsku i czło- nek zarządu Towarzystwa Przy- jaciół Sopotu. Nie wierzę, by nazwisko zasłużonego malarza było mu nie znane, by nigdy się z nim nie zetknął. Tym bar- dziej, że książka we wszystkich działach jest drobiazgowo zdo- kumentowana, nie wyłączając opisanie środowiska plastyków sopockich. O czymś więc to świadczy.

Pytam o wystawę zagranicz- ne.

— Żeby wystawić indywi- dualnie za granicą, trzeba mieć kupę forsy i za wszystko same- mu płacić. A tam wszystko jest drogie jak cholera. O, proszę: głupia fixatura do utrwalania szkiców kosztuje tyle, ile para adidasów.

Swoją olbrzymią temperament wyładowuje nie tylko w pra- cy. Przytacza masę zabawnych historyjek, sytuacji, kiedy burz- liwie reagował na różne prze- jawy głupoty, nieuczciwości, o- bojętności, zadufania, i tak da- lej. Przytoczę jedną, bardzo cha- rakterystyczną. Po 30 prawie latach domagania się o remont dachu, gdy tynk zaczął opadać z sufitu, a do pracowni ciur- kiem lała się woda, przyszedł wreszcie majster.

— Zauważyłem, że remont zaczął od wykradania poprzecz- nych drewnianych wsporników dachowych. Zapytałem go: czy pan myśli, że jak jest ode mnie wyższy o dziesięć centymet- rów, to ja jestem o dziesięć centymetrów głupszy? I wy- kopłem bydlaka z domu. A w dodatku sprzedał cement i chciał mурować piaskiem z wo- dy. Przyszedł później i dokoń- czył robotę, ale, panie, zrobio- ne jest do dupy.

Faktycznie: robota jest od- walona; tyle, że woda już nie kapie do środka.

W pewnym momencie Karo- lak, nagle, w połowie zdania, wpada na pomysły:

— A może zrobić panu por- tret? Panie, ja tak lubię robić portrety, a nie mam komu. Za- na stale zajęta, udało mi się ja narysować wszystkiego ze dwa razy. Córki nigdy nie miały czasu, a znajomi albo nie mają cierpliwości, albo nie potrafią pozo- wać. A ja tak lubię rysować portrety.

Odpowiedziałem, że mam nie- jaką wprawę w pozowaniu, bo kiedyś, dawno co prawda, por- tretował mnie wielokrotnie Vla- stinil Hofman — no i poroz- mawialiśmy chwilę o wybitnym polskim malarzu czeskiego po- chodzenia, którego malarstwo Zygmunt Karolak oczywiście bardzo dobrze zna.

Pozowałem dwie godziny. Miałem okazję przyjrzeć się, jak mistrz pracuje. Jaka to nie- słychana dynamika, jakie na- pięcie: cały czas w nerwowym ruchu, jakby w wyścigu z cza- sem, z zachodzącym za oknem słońcem, ale przecież nie był to pośpiech. Niebywała siła twórcza rozsada tego niewiel- kiego człowieka.

Oglądam gotowe dzieło: „wy- ciągnięte” zostały ukryte cechy modelu, nastroj tamtych godzin i ogólny charakter człowieka. Wiem najlepiej, że trafnie. Bo podobieństwo fizyczne, o tym nie muszę zapewniać, jest do- konane. Będzie to największa i najcenniejsza pamiątka z od- wiedziny u profesora.

Po utrwaleniu kreski fixa- turą i odstawieniu do wyschnię- cia, Zygmunt Karolak komen- tuje: — a teraz musi pan zo- baczyć moją pracownię. Tu wkroczyła zdecydowanie, acz do- broliwie pani domu i prze- konała niecierpliwego małżon-

ka, że przecież trzeba od cza- su do czasu się posilić. Zjedli- my wspaniale przyrządzony o- biad i prosto od stołu poszliśmy piętro wyżej, do pracowni. Spo- re pomieszczenie na strychu za- stawione jest dokładnie gotowy- mi płótnami. Wąską drożką przeszliśmy na środek, gdzie trochę więcej miejsca. Tam stoi sztaluga, leży paleta z wyci- śniętymi farbami, a całą jedną ścianę zastawia regał z dziesią- kami albumów i czasopism z dziedziny plastyki.

Wyznaczone zostaje mi miej- sce w fotelu: zaczyna się — wyrzykowa z konieczności — prezentacja dzieł artysty. Sa- piąc i postępując ustawia du- żych rozmiarów obrazy na szta- ludze, a gdy unoszę się z foto- la, chcąc pomóc, słyszę: *po co pan wstaje, niech pan siedzi!*

Kilka godzin oglądamy prace malarskie pana profesora. Są znakomite. Szczególnie cykl „Don Kichot i Sancho Pansa”, ale pejzaże, bardzo nastrojowe i po mistrzowsku wykonane, ka- żą zachwycić się sprawnością techniczną artysty. Szczególnie działa na wyobraźnię łączenie kolorów, w ogóle sposobich sto- sowania; tę sztukę opanował Karolak do maestrii.

Mówi: — obraz bez koloru, choćby najlepiej zakomponowa- ny przestaje być obrazem. Nie fabuła obrazu gra decydującą rolę, lecz forma artystyczna. Każdy temat jest dobry, musi być tylko dobrze namalowany. Ba! chciałoby się powiedzieć.

Na pytanie, co sądzi o awan- gardzie, o najnowszych tenden- cjach w malarstwie, odpowiada żywiołowo:

— Nienawidzę to oszustwa, hochsztaplerstwa!

Prezentacja trwa: co płótno, to inny nastrój, zapis „stanu ducha” autora w momencie tworzenia. Nie dziwię się, że są one tak różne, bowiem w twór- cy oglądanych dzieł nastroje pulsują, zmieniają się będąc w ciągłym ruchu.

Lubi malować cykami po to, by obejrzeć, a później pokazać temat ze wszystkich stron, u- brnąć w różną formę, spróbo- wać różnych barw i oświetleń z różnych stron różnym świat- łem. A potem i tak zmieniać, poprawiać, ulepszać.

Każdy obraz ma swoją histo- rię: przed, w czasie i po ukoń- czeniu pracy nad nim. O każ- dym opowiada ze swadą i prze- jeciem. Ale żadnego nie uwa- ża za skończony. Przy każdym planuje jakieś poprawki i udo- konalania.

Nastroj pracowni i to, co się w niej dzieje, każą zapomnieć o czasie. Profesor wyciąga wciąż nowe i nowe obrazy i mówi, mówi, opowiada. Jest w naj- ważniejszym dla siebie miejscu, w sercu własnego serca. Seans ten mógłby trwać bez końca. Późna pora każe nam jednak zejść na ziemię, czyli piętro ni- żej, do pysznego salonu Karo- laków.

Gdy żegnam się ze wspania- łymi gospodarzami, po wielu godzinach wrzasek, wrażeń i emocji, ktoś dzwoni do drzwi. Przyszedł bliski krewny profes- ora, co bardzo ucieszyło tego niezmordowanego człowieka: — *dobrze, że przyszedłeś, chcę z tobą pogadać* — powiedział, klepnął gościa po plecach, a żachuchało w wielkim hoku i za- tartł ręce.

Gdy trzaśnięcie drzwi odcięło mnie od niepowtarzalnego na- stroju tego domu i niezwykłego gospodarza, zrobiło mi się żal. Przecież takich ludzi już nie ma. Zupełnie inne wartości go- nią teraz ludzi przez świat, co innego stało się wypełniaczem życia i działania człowieka. Na tyle, w sumie, głupich i plas- tycznych spraw i rzeczy traci się energię i czas. Zmienili się o- ceny i potrzeby, co innego sta- nowi o sensie życia, co innego wyróżnia ludzi i tworzy ich znaczenie. Niestety!

Dlatego z prawdziwą radoś- cią skorzystam z serdecznego zaproszenia do następnych od- wiedziny domu państwa Karo- laków. By, choć krótko, pobyc w innym, lepszym świecie.

Zbieranie gruzów. Czarna farba — tusz.

Jakże to, pojechać do RFN i wrócić z pustą kieszenią, bez marek, bez towarów? I co, świecić oczami przed znajomymi, tłumaczyć, że... Nie nie przychodzi na myśl i słusznie, albowiem nie ma wytłumaczenia z takiej hańby. Bo przecież wszyscy coś przywożą. Podróż nie tylko musi się zwrócić, ale zapewnić po powrocie do kraju spory wkład na koncie „A”, tudzież kilka drobniaków (video, stereo itp.), które można użytkować samemu lub korzystnie sprzedać. Ponieważ jednak krajowe banki wypłacają podróżnym, którzy nie uruchamiają gotówki z własnego konta walutowego zaledwie 20 marek na cały pobyt (na video nie starczy), przeto trzeba schować do kieszeni i zakasać rękawy. Bo oszczędność i kasa to prawdziwa.

STANISŁAW JASKIERSKI

Tajemnice milionera

ca ludzie się bogacą. Ale nie tylko, o czym świadczy

PRZYKŁAD JÓZEFA S.

Oszczędność wszakże jest pożądana. To przecież czysty obłąd, żeby chleb kosztował w przeliczeniu tysiąc złotych (2,70 DM), a paczka papierosów przeszło półtora tysiąca. Co prawda kilogram bananów można dostać za 800 zł, ale za to kilo jabłek kosztuje tyle co elektroniczny — 2000 złotych. Ale z dwudziestu marek i tak niewiele się zaoszczędzi, choćby jeść kit z okna i popijać deszczówką. Co prawda Niemiec, który wysłał zaproszenie zobowiązał się tym samym do utrzymania gości w Polsce, ale w wielu wypadkach to lipa, gdyż przy odrobinie dobrej woli z obu stron, od zupełnie obcego obywatela RFN można kupić zaproszenia za 50 tys. zł lub 200 marek, ale w takiej sytuacji byłoby nieaktualne jechać do zapraszającego i żądać wynagrodzenia z zaproszenia zobowiązań. Podróż, wizy, znaczki paszportowe — to wszystko kosztuje. Ale warto. Bo pieniądź robi pieniądź.

Z takim nastawieniem wyjechał przed dwoma laty do RFN Józef S. Sobie tylko wiadomym sposobem załatwił umowę z „Polserwisem” na okres pięciu lat. Wyjechał do Niemiec, aby oficjalnie, nie martwiąc się o daremne poszukiwanie pracy, pracować jako robotnik w fabryce wina. Na miejscu wszakże okazało się, że z planowanych wielkich pieniędzy nic.

Józef S. osiedlił się w U., otrzymał od gminy lokal — łożysko i na pół zrujnowany piętrowy dom — ale oczywiście nie miał domu. Czynniki, woda, elektryczność, utrzymanie i podatki pochłaniały spora część wcale nie tak wysokich zarobków. Tak więc, co miesiąc mógł odłożyć najwyżej 300–400 marek. Dla wielu byłoby to powód do zazdrości, ale on miał większe ambicje.

Przez pół roku Józef S. oszczędzał każdy grosz, odmawiając sobie nawet jedzenia: oł, chleb, polskie konserwy, a w niedziele butelka ciekawego wina. Imał się też po godzinach pracy różnych fuch: a to pomoc w murarce, a to naprawa radia, a to założenie instalacji elektrycznej w nowo zbudowanym domu. Rychło zdobył sobie miano „złotej raczki”, a przy tym za robotę brał mniej niż niemieccy fachowcy. Lubiany był, a i od czasu do czasu napisał się wódki na czysto rachunek.

Nie był zadowolony, zostawił w kraju żonę i dorastającego syna, wyjechał na obczyźnie. Okazało się, że na błyskawiczne zrobienie majątku nie ma co liczyć. Tyle tylko, że miał stałą pracę, nure za mieszkanie i kilka stumarkowych papierków odkładanych każdego miesiąca. Zrobił więc rachunek — sumienia i zarobionych pieniędzy — i doszedł do wniosku, że niewarta skórka wyprawki. Wahał się więc: wrócić czy zostać i rozetrzeć się za grubszą forszą.

Z początku miał opory natury moralnej.

PRZEZ PÓŁ ROKU POBYTU W RFN

poznał wielu Polaków przebywających w U. i okolicznych miejscowościach — azylantów, robotników na zagranicznej umowie i przyjeżdżających dorobkiewiczów. Poznał panią Wandę, doktora filologii polskiej, która za 20 marek dziennie i utrzymanie pracowała jako pomoc, a rozmowa z właścicielem restauracji, z którym także sypiała za niewielką premię. Poznał zastępcę dyrektora jednego z wielkich przedsiębiorstw w Lublinie, który pracował w okolicznych lasach jako drwal. Poznał i przyszedł pod swój dach — studentki w dzień zmywające garzki w „najpach”, a w nocy polujące przed knajpami na amatorów świeżego, gorącego seksu. Patrzył, liczył i uczył się.

aktualnego ubezpieczenia auta. Numery rejestracyjne się zgadzały, numer silnika i nadwozia też, ale w rubryce „marka” napis „Volkswagen” był jakiś dziwny i ciut niewyraźny. No i wreszcie dowód rejestracyjny stracił swą ważność przed miesiącem.

JÓZEF S. WPADŁ.

Tłumaczył mętnie, że wóz jest kupiony w kraju, ale nikt nie chciał dać temu wiary. „Albo zapłacę ci — pomyślał — albo zostawię samochód, albo wreszcie zaczną grzebać się w tym wszystkim i posadzą za fałszowanie dokumentów”. Przystał się więc, że kupił samochód w RFN z takimi właśnie papierami, o niczym nie wiedział, ale jeśli trzeba, zapłaci ci. Bez niego więc na tym, że po przyjeź-

teresie kierowców. Co ciekawie, kierowcy owi byli całkowicie nieświadomi roli, jaką mieli spełniać; mało tego, mogli stanowić jeszcze dodatkowe źródło zysku. Józef S. po prostu wypożyczył swym znajomym samochód, by mogli wygodnie pojechać w jedną stronę, do Polski. Po przyjeździe do kraju mieli odprowadzić samochód na adres żony Józefa S., która następnie fatygowała się z autem na giełdę. Józef S. wyeliminował w ten sposób swój bezpośredni udział w interesie, pozbył się kłopotu z pochłanianymi czas wyjazdami, nie musiał wydawać ani na paliwo, ani pokrywać kosztów, jakie zawsze wiązały się z podróżą. Kierowcy zaś chętnie przystali z możliwości wyjazdu autem do Polski z trzech względów: po pierwsze — podróż mieli szybką i wygodną, po drugie — samochód był tańszym środ-

kiem lokomocji niż pociąg oplatany przecież w markach, a po trzecie — auto było pakowne i miało dużo zakamarków, można było więc przewieźć więcej towarów, trefne drobniaki dobrze poukrywać.

Józef S. wreszcie mógł

ZABRAĆ SIĘ DO UCZCIWEJ PRACY

w winiarni, nie musiał już tak często wyjeżdżać do kraju. Trzyb zaczął prowadzić dawny tryb życia: osiem godzin w fabryce, od czasu do czasu drobna fucha (wszak kilkadziesiąt marek dodatkowo zawsze może się przydać). Mimo wielomilionowej fortuny w kraju Józef S. bynajmniej nie sprawiał wrażenia człowieka zamożnego, nadal jada chleb i konserwy, popijał to wszystko cieniem wina i tylko od czasu do czasu pozwolił sobie na kupno odrobiny miłości, bo doskwierająca samotność też ma swoje prawa.

Kto by pomyślał, że czterdziestoletni Józef S., robotnik w fabryce wina w U. należał do tych, którym się udało. A udało mu się — oprócz zbiecia fortuny na handlu samochodami — i wiele innych pomysłów, zorganizował na przykład siatkę handlarzy energowoskami talonami na benzynę, współpracując też z kilkoma warsztatami naprawy samochodów, w których przędzalnicy Polski mogą — po zadowalającym obie strony kursie — wymienić czek z książeczki międzynarodowej pomocy samochodowej na żywą gotówkę, ponadto kierowcy odprowadzający samochody do kraju służą za przemyślników kronografii i poszukiwanych w Polsce urządzeń elektronicznych, jak choćby sprzęt video i tzw. antyrary, nie mówiąc już o zegarkach.

Interes jak na razie prosperuje dość dobrze, choć żeby kupić auto od azylanta trzeba zapuszczać się w coraz to dalsze zakątki RFN, na szczęście jednak szeroko nawiązane kontakty ułatwiają poszukiwanie sprzedających, bo Polacy osiedli w RFN chętnie nawiązują ze sobą znajomości i przyjaźnie. Józef S. zaczyna się jednak obawiać przyjaźni, bo choć swą działalność okrywał tajemnicą, ma podstawy sądzić, że niektórzy domyślają się wszystkiego, a wtedy „ojciec chrzestny” eksportu polskich aut do Polski mógłby stracić monopol i źródło dalszych zysków. Póki co zachowuje nadal pozor: żyje jak dawniej, skromnie i oszczędnie, mieszka wciąż w tym samym zrujnowanym domu z zagrzybnionymi ścianami i przeciekającym dachem.

Wciąż liczy zarobione pieniądze i ciągle mu ich mało, więc rzucił nawet palenie, bo uważa, że półtora tysiąca za paczkę papierosów to stanowczo za dużo. Mówi w każdym razie, że po powrocie do Polski będzie żył jak człowiek, ale siła przyzwyczajenia jest ogromna i sam już chyba w to nie wierzy, wszak podczas niedawnego pobytu w kraju pobliż żonę za to, że osmieszała się bez jego zgody wyrzucać pieniądze na futra z karakulów, podczas gdy on ciula każdy grosz odmawiając sobie wszystkiego...

Najmłodszy Nobel

85-letnią tradycję ma przyznawanie Nagrody Nobla w odniesieniu do fizyki, chemii, medycyny, literatury i upowszechniania pokoju. Próby jej rozszerzenia na inne dziedziny doprowadziły do ustanowienia nowej najmłodszej, bo liczącej zaledwie 18 lat Nagrody do Dziedzin Nauk Ekonomicznych ku pamięci Alfreda Nobla. Do jej ufundowania doszło w rocznicę trzechsetlecia powstania Banku Państwowego Szwecji, który z tej okazji zobowiązał się do corocznego przekazywania Funduszowi Nobla określonej kwoty na nagrodę za najwybitniejsze osiągnięcia w naukach ekonomicznych. Kwota jest tej samej wysokości jak w przypadku pozostałych dziedzin i wynosi obecnie ponad 200 tys. dolarów plus sześćdziesiąt pięć procent tej sumy na koszty wyboru kandydata.

W jaki sposób ten nowy nietypowy Nobel jest przyznawany? W zasadzie procedura wyłaniania laureata i wręczenia nagrody jest taka sama jak przy Noblu oryginalnym. Rozpoczyna się od tego, że corocznie w końcu października Komitet Nagrody wysłał imienne zaproszenia do 75 ośrodków na całym świecie, aby ich profesorowie nauk ekonomicznych wysunęli kandydatów do nagrody. Lista ośrodków biorących udział w zgłaszaniu jest każdego roku zmieniana. Do instytucji stale wysuwających kandydatów należą: szwedzcy i zagraniczni członkowie Królewskiej Akademii Nauk; profesorowie nauk ekonomicznych uczelni krajów nordyckich; laureaci Nagrody Nobla z dziedziny nauk ekonomicznych z lat poprzednich oraz członkowie Komitetu Nagrody. Ważną zasadą przy wysuwaniu kandydatów jest to, że dokonywane jest ono indywidualnie przez członków, a nie przez organizację. Kandydata można zgłaszać do końca stycznia każdego roku. Ostatecznej selekcji dokonuje Komitet Nagrody, którego przewodniczącym jest obecnie Assar Lindbeck z Uniwersytetu w Sztokholmie.

Wstępne prace zakończone są przed wakacjami i mimo że prowadzone są w ścisłej tajemnicy, to pojawiają się jednak pewne „przebiegi”, które skłaniają do różnych zabiegów i nacisków. Niekiedy rozwiązaniem kompromisowym jest przyznanie dwóch równorzędnych nagród w tym samym roku — miało to dotyczyć miejsca w sześciu przypadkach. Innym rozwiązaniem jest utworzenie swoistej kolejki po laury w latach następnych. Ta ostatnia sprawa jest wyjątkowo przemierzana, gdyż niektórzy z przewidywanych laureatów nie doczekali uhonorowania. Dotyczyło to tak znanych ekonomistów jak J. Viner (zmarł w 1970 r.), M. Kalecki (zmarł w 1970 r.) i R. Harrod (zmarł w 1973 roku).

We wrześniu rekomendacje poszczególnych komitetów są zatwierdzane w głosowaniu przez Noblowski Zgromadzenie, które w większości przypadków zgłoszone propozycje przyjmuje mając zaufanie do specjalistów zasiadających w tych gremiach. Chociaż „reprezentatywność” niektórych krajów może budzić pewne wątpliwości. Spośród 24 dotychczasowych laureatów, 16 w momencie przyznania nagrody pracowało w uczelniach USA, 3 w Wielkiej Brytanii, 2 w Szwecji i po jednym w Holandii, Norwegii i ZSRR. Chociaż wielu z nich urodziło się i prowadziło pracę naukową w innych krajach. Podobna dominacja uwidacznia się w zestawieniu ośrodków mających więcej niż jednego laureata w dziedzinie ekonomii. Stany Zjednoczone Ameryki mają trzy takie ośrodki, wśród których prym wiedeń Uniwersytet Harvarda (4 noblistów), w Wielkiej Brytanii jeden — Uniwersytet w Cambridge (2 noblistów).

Rytuał ogłaszania nagrody jest co roku taki sam. Dokładnie o godzinie pierwszej w trzeci czwartek października w sali reprezentacyjnego budynku, w którym mieści się Szwedzka Królewska Akademia Nauk i Giełda, sekretarz Akademii Lars Gyllensten ogłasza, że jest najnowszym zdobywcą Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii i literatury. Podany werdykt jest bardzo lakoniczny i zawiera jedynie krótką sentencję uzasadniającą powód przyznania nagrody. Oświadczenie to natychmiast dostaje się na czołwki gazety całego świata i często wywołuje pytania: „A kto to taki?”

Tak było w tym roku, gdy James Buchanan z Uniwersytetu George'a Masona w Fairfax (USA) otrzymał nagrodę za „syn-tezę teorii podejmowania decyzji politycznych i gospodarczych”. Do klubu nagrodzonych Noblem w dziedzinie ekonomii został wpisany dwudziesty czwarty członek, który nie jest bliżej znanym nawet w środowisku ekonomistów.

James Mc Gill BUCHANAN urodził się w 1919 roku w małym mieście Murfreesboro w stanie Tennessee. Po ukończeniu studiów w swoim stanie w 1948 roku doktoryzuje się na Uniwersytecie w Chicago. W 1969 roku zostaje generalnym dyrektorem nowego Ośrodka Badań Public Choice utworzonego przy Instytucie Politechnicznym i Uniwersytecie Stanu Wirginia w małej miejscowości Blacksburg. Kierowany przez niego Ośrodek rozwinął nowy nurt badań ekonomicznych, który obecnie zyskuje rozgłos i uznanie. Chodzi mianowicie o tzw. Public Choice — nowy kierunek ekonomii instytucjonalnej zajmujący się regulacją funkcji państwa kapitalistycznego. Źródłem inspiracji teoretycznych tego kierunku jest ekonomia dobrobytu i keynesizmu. Dokonana w związku z osłabieniem koniunktury w latach siedemdziesiątych krytyka tych kierunków doprowadziła do innego spojrzenia na funkcje ekonomiczne państwa kapitalistycznego. Punktem wyjścia stała się koncepcja państwa idealnego, które reaguje skutecznie na impulsy wychodzące z „rynku politycznego”, dostosowując politykę gospodarczą do oczekiwań przyszłych wyborców. W swej najbardziej znanej książce pt. „Granice wolności. Między anarchią a Lewiatanem” (1975 r.) rozwija Buchanan analizę alokacyjnych funkcji państwa kapitalistycznego.

Zasadniczą myśl jego teoretycznej koncepcji, w uproszczeniu przedstawia się następująco. Każdy obywatel posiada pewną ideę słusznego obciążenia podatkowego jego dochodów w stosunku do zestawu świadczeń publicznych wynikających z prowadzonej przez rządzących polityki polityki gospodarczej. W skali społecznej powstaje pewna „rozbieżność” między oczekiwaniami a realizowaną polityką społeczno-gospodarczą. Według Buchanana „rozbieżność” ta są naturalną konsekwencją pewnych właściwości sektora publicznego, jak: niepodzielność polityki publicznej; trudności z identyfikacją oczekiwań obywateli i w konsekwencji prowadzą do niezaspokojenia popytu na usługi publiczne zgłaszane przez obywateli.

Działanie zaś obywateli w kierunku zmniejszenia tych „rozbieżności” przybiera postać poparcia lub opozycji w stosunku do partii politycznych czy polityków. Buchanan utrzymuje, że partia i politycy dążą do znaksymalizowania możliwości utrzymania lub zdobycia władzy w wyborach. Uwzględniwszy następujące sposoby działania w tym zakresie: łapownictwo, udział w lobby, tworzenie grup nacisku, akcje protestacyjne i głosowanie. Zwraca uwagę, iż działania polityczne wymagają określonych nakładów pieniężnych lub czasowych. W konkluzji stwierdza, iż obywatel bogaty wykorzystuje instrumenty pieniężne, a biedny czasochłonne (np. demonstracje, przemarsze itp.).

Uhonorowanie współtwórcy kierunku „Public Choice” Nagrodą Nobla nie tylko spopularyzuje i pozwoli poznać lepiej jego sylwetkę, ale także rozprzestrzeni jego poglądy. Opinia publiczna zostanie utwierdzona w przekonaniu, iż rząd funkcjonujący w warunkach demokracji parlamentarnej ma tendencję do instrumentalnego traktowania polityki stabilizacyjnej, podporządkowując ją własnym interesom wyborczym. Rezultatem takiego zachowania jest państwo jest pojawienie się nowego mechanizmu destabilizującego gospodarkę kapitalistyczną, który nazywany jest politycznym cyklem koniunkturalnym.

STANISŁAW MIKOSIK

Christian Morgenstern

Trzy zajaczki

W księżycu blasku nocnym,
na łące, nad jeziorem,
zajaczki trzy hasały:
Jeden jak lew był mocny,
drugi jak sarna zwiny,
trzeci jak mewa biały.

Czy ktoś z was o coś pytał?
Zajaczki! Koniec. Kropka.
Poezja i nie więcej —
chcesz wziąć ją w swoje ręce?
Weź, podnieś do kwadratu,
przydając jej bez drżenia
człowieka, co sensu nie ma,
odrzuć co zbędne, zostaw rdzeń
i śnij ten najpiękniejszy sen...
Może zajaczki ujrzyś trzy
na łące, pośród nocnej mgły,
tańczące na paluszkach cienkich:
jeden to lew,
drugi to mewa,
trzeci ma coś z sarenki.

Gwizdże wiatr...

Co za melodię gwizdże wiatr!
Dzika, niemądra piosenka...
Jakby w żelazny dmuchał klucz —
to słabiej, to znów mocniej.
Noc mu do wtóru deszczem mży,
ciężkimi deszczu łzami,
co bębnią w czarny spokój szyb
akordem jednostajnym.
To gwizdże wiatr. I wyje tak,
jak psy gdzieś hen, daleko.
To gwizdże wiatr na cały świat —
stary filozof z niego!...

Spotkanie

Nas dwoje i dwa stoły. Nie pytajcie, gdzie.
Nieważne, gdzie ta izba, miasto, kraj, planeta.
Siedzieliśmy gdziekolwiek pośród żywych ludzi,
przy dwóch stołach, osobno, ty tam, a ja tu.

A jaki płomień w duszy! Nieznana dziewczyno,
gdym mógł twoje oczy wierszami opiewać,
gdym z ust twych królewskich otrzymał
pochwałę,
a z twych dłoni — koronę, koronę na skronie...

Możesz i ty myślała: nieznany młodzieńcze,
kimże jesteś — na Boga — że pełne do głębi,
że miłośnie do kolan twych przypaść bym
chciała
i powtarzać: najmilszy, najmilszy... Nic więcej!

Jakby dwa serca w jeden złączyły się rytm
przy dwóch stołach osobnych, ty tam, a ja tu.
Aż wstaliśmy od stołów jak wszyscy dokoła
i wyszliśmy jak wszyscy, by się więcej nie
spotkać.

Przełożył:
WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Żył w Hamburgu syn ubogich ludzi. Stał się
w Monachium znanym malarzem i zaślubił
dziewczynę z Pflazu. Ich syn był malarzem i o-
żenił się z córką szwabskiego malarza. Z kolei
ich syn urodził się 6 maja 1871 roku także w
Monachium — Christian Otto Morgenstern, poe-
ta.

Tak pisał o sobie autor „Pieśni szubienic-
nych” („Galgen — lieder”), które dość późno
— w trzydziestej piątej wiosnie życia — zyska-
ły mu trwałą sławę i wielką popularność. Stu-
dował we Wrocławiu prawo, filozofię i historię
sztuki. Przebywał po parę lat w Norwegii (tu-
maczył na niemiecki wiele dzieł Ibsena), Szwaj-
carii i Południowym Tyrolu, zanim na dobre o-
siadł w Berlinie. Był lirycznym o przeobrażającym
nastroju groteskowo-satyrycznym, przyjaźnił się
z Rilkiem i z wielkim reformatorem teatru,
Maxem Reinhardtem.

„Pieśni szubienic” osiągnęły dziesiątki wyda-
nia, wydawane są wraz z innymi wierszami
Morgensterna wciąż na nowo, a ich autor u-
chodził dziś za twórcę i klasika nowoczesnej
poezji niemieckiej. Na język polski tłumaczono
tylko pojedyncze utwory, pogubione po czaso-
pismach. Są to liryki bardzo trudne do przeło-
żenia na inny język: pełne w nich kunsztownej
a zabawnej gry słów, zwrotów o aforystycznej
zagęszczonej treści, żonglerki słownej, przywo-
dzącej na myśl Głównego i tuwimowskie
„słownictwo”. W licznych późniejszych zbiorach:
„Czeski jarmark”, „Kto nie zna celu”, „Znale-
źmy ścieżkę...”, „Czas i wieczność” i inne —
ozłaskał poeta oprócz wierszy lirycznych także
aforytmy satyry, przypowieści, uroczyste bajki dla
dorosłych („Młyn dzwinkowy”, „Goździkowa so-
nata”), a zawsze znajdujemy w nich ów specy-
ficzny nastrojowy dystans i dyskretny śmiech,
o którym sam Morgenstern mówił: „Humor jest
humorem i w każdym czasie ma własny sens
i powagę sama w sobie, ba — jest jego misją
rozluźnić w człowieku głucha, smutną powagę,
w jaką uwikłała go trudna rzeczywistość”.

Autor tych słów zmarł w roku 1914.

W. K.

Nazwisko autora po-
wieści, o której
chcę napisać nie jest
obecnie mieszkancom
Łodzi. A i poza jej
granicami nie za-
brzmia anonimowo bo dobrze
wpisało się w kronikę związo-
we i polityczno-społeczne nasze-
go kraju. Od czasu, kiedy Józef
Spychalski pełnił wysokie fun-
kcje, najpierw w związkach
zawodowych a potem w partii
(był I sekretarzem Komitetu
Łódzkiego) minęło wiele lat.
Zrozumiał, że impuls aby
chcieć teraz spojrzeć na tamten
czas z dystansu, spróbować go
ocenić, a może także i obja-
śnić. Zazwyczaj pisze się pa-
miętniki albo udziela długich
wywiadów. Józef Spychalski
wybrał jeszcze inną możliwość:
napisał powieść, jakby w prze-
konaniu, że jest to forma ucze-
ścisła od konstruowania quasi-
„autentyczności” pamiętnika i od
dwuznacznego — nierzadko —
koniumentalizmu monologu kie-
rowanego przez dziennikarza
(wiele takich tekstów ukazywa-
ło się w czasach pasierpiniowego
zamętu). Rzeczywiście: w powie-
ści, która choć rzadzi się swo-
listymi prawami prawdy i fik-
cji, realistycznego autentyzmu
i zmyślenia, można wypowiadać
się z większą swobodą i bez
obciążenia autocenzury. To czytel-
nik w ostatecznym efekcie be-
dzie decydował o tym czy
przedstawiony świat jest wiary-
godny, czy odpowiada jego do-
świadczeniom, czy przekonuje.

„Powtórka z ideologii” (jakże
niezwykle tytuł dla książki
beletrystycznej!) to kolejna po-
wieść Józefa Spychalskiego. Po-
dobnie jak i poprzednia („Tru-
dne powroty”, 1983) jest reali-
stycznym zapisem powojennej
rzeczywistości Polski Ludowej.
Zapisem uczciwym i świadomie
skromnym. Autor nie usiłuje
ani uogólniać, ani tworzyć per-
syzmów stereotypów. Nawet
konstrukcja fabularna tej po-
wieści jest nader przejrzysta i
naturalna, bo tworzy ją chro-
nologia i kolejne epizody z bio-
grafii prezentowanych postaci.
Nie ma też w tej powieści jak-
ichś dramatycznych zwrotów
ani niespodziewanych zaskoczeń
a mimo to czyta się ją z uwa-
gą i ciekawością. A to właśnie

W utracenie masowe-
go odbiorcy ze sta-
nowiącego widze-
nia rzeczywistości i
stereotypowego w
niej uczestnictwa
to zadanie współczesnego filmo-
wego dzieła, które w ten sposób
pretenduje do bycia dziełem
poetyckim.

„Bal” jest w kontekście tego
spostrzeżenia znakomitą egzem-
plifikacją wykorzystania w peł-
ni specyfiki tworzenia filmo-
wego, aby przy minimum infor-
macji przekazywanych dźwię-
kiem i obrazem, oddać maxi-
mum wiedzy o świecie i zachod-
zących w nim zjawiskach. W fil-
mie tym nie pada żadne słowo,
jakby chciano nas przekonać o
jego zbędności w opisywaniu
specyfiki ludzkiej rzeczywisto-
ści, zarówno w sferze opowiadania
o niej, jak i porozumiewania
się bohaterów, których losy
konstytuują filmową opowieść.

Tytułowy bal, pokazany w
różnych momentach historycz-
nych, staje się okazją do zgro-
madzenia mozaiki charakterów
tworzących ludzki świat, wcho-
dzących ze sobą w ten najbar-
dziej podstawowy z układów
międzyludzkich, a więc więź
mężczyzny i kobiety. Taniec jest
początkiem tego związku, uła-
wia go przez naturalność doty-
ku i bliskość, które w innych
nieudolnych miejscach spotka-
nia tłumione są prestiżowymi,
bądź instytucjonalnymi wzglę-
dami. Bal jest jednym z nie-
wielu miejsc, gdzie mężczyzna i
kobieta spotykają się w swych
pleciowych rolach, sublimowa-
nych kulturowymi maskami, na-
rzuconymi przez muzykę i stro-
je.

Film pokazuje stałość tych
wzajemnych więzi kobiety i
mężczyzny na przestrzeni wie-
ku, niemiernie ludzkich
typów, których czas nie zmie-
nia. Pozostają ze swoimi tika-
mi, kompleksami, osobliwościami,
mimo zmiany kostiumów, rytmu
i scenarii towarzyszącej ich tań-
cowi. Jest więc seksowna ko-
ciętka, dojrzała matka, stara
panna, kobieta dystygnowana,
romantyczna panienka, nadpo-
budliwa megiera i odpowiadają-
ce im męskie typy — fircyk,
romantyczny kochanek, eroto-
man, uwodziciel. Zmienia sytu-
acja historyczna, dorzuca do o-
wych cech identyfikujących
pleciowo rozmaite postawy poli-

tyczne. Wieczny konfident, nie-
zależnie od czasów filuje na
prawo, na lewo w poszukiwa-
niu informacji, jego azyja neu-
rotycznie wysuwa głowę, która
raz pociągnięta za sznurki nie
potrafi zniechęcić, lecz nie-
przerwanie w pochyleniu, wy-
konuje takujące ruchy. Wspania-
ła jest scena odepchnięcia
go z koła tańczącej uradowanej
wyzwoleniem gromady, w ry-
tmie francuskiej wersji zabawy,

Postać centralną jest Piotr
Borowski, repatriant z obo-
zu jenieckiego, który bez wa-
hań wraca do kraju, do Łodzi,
aby stąd wyjechać na Ziemię
Odzyskaną i rozpocząć zawodo-
wy start w wojnowskiej fabry-
ce bawełnianej. Prowadzi potem
autor Borowskiego, który zakla-

Powtórka z życia

da rodzinę, wstępuje do PPR
i podejmuje coraz to bardziej
odpowiedzialne obowiązki zawo-
dowe, poprzez lata pięćdziesiąte,
rok 1956, sprawy związkowe i
partyjne aż do stanowiska I
sekretarza w Krosnowicach. Ta
zwykła i niezwykła jedno-
cześnie biografia (zwyczajna bo
podobna losom całego pokole-
nia; niezwykła, bo tylko nie-
licznym dany był taki awans)
ułożona jest w powieści ze zda-
rzeń i epizodów — chciałoby
się powiedzieć — codziennych.

Tak je zresztą traktuje sam
Piotr Borowski, który w zgo-
dzie z przyjętą zasadą życia
stara się jak najlepiej i jak
najrzetelniej wypełniać powin-
ności jakie niesie czas i rzec-
zywistość. Jego awans zawodo-
wy i społeczny jest czymś na-
turalnym w tej biografii, wni-
kającym z konsekwencji i jakby

legat dramat bohaterów „Fer-
dydurke” lecz twarz przyłapa-
na w najintymniejszym mo-
mencie stwarzanie się, a więc
sam na sam z lustrem. Kamera
jest lustrem. Widzimy drugie-
go tak jak on widzi sam sie-
bie. Jednocześnie zaś brak na
ekranie rzeczywistego lustra. Z
czego prosty wniosek, że nie
istniejemy dla siebie, lecz dla
innych. Przeglądamy się, żeby
się pokazać w wybranej pozie
inym. Tak więc bliźni jest na-
szym lustrem.

Ta filozoficzna konstatacja
zostaje, jak widzimy, przekaza-
na sposobem ustawienia kame-
ry, implikowana jest więc nar-
racja filmu. Sposób przedsta-
wienia losów bohaterów jest
więc w takim samym stopniu
źródłem informacji o prezento-
wanej przez reżysera wizji świa-
ta, jak i fabuła filmu. Trudno
zresztą mówić o niej w oddzie-
leniu od narracji „Bal”. Nie
można bowiem tego filmu
streszczać, a więc przełożyć na
słowa i w tym jego sile.
Dźwięk i obraz doskonale je
zastępują. Na przykład doświ-
cie Hitlera do władzy przedstawia
tańcząca gromada tupaniem w
podłogę w rytmie kroków wojs-
ka, na widok niemieckiego żoł-
nierza, który wszedł na salę.

Cały film jest polifonia od-
działujących na oczy i uszy wi-
dza. Muzykę współuczestniczy
w uzupełnianiu sensów dzieła,
które nie są gotowe i streszczo-
ne choćby w słowach bohate-
rów, lecz zostają postawione
przed nim, jak realnie istnieją-
ca rzeczywistość. Z tą więc rzec-
zywistością ma na powrót u-
zyskać kontakt znielony kultu-
rą masową widz, który we
własnym losie zostaje „zruczo-
ny w byt”, tu zaś w uporząd-
kowaną wizję świata artysty, z
jaką dwugodzinne obcowanie
ma oświecić tragizm samotnego
sam na sam z nieodgadnionym
kosmosem.

Barbara Baran

„Bal”, reż. Ettore Scola, prod.
włosko-francuska.

prostolinijnej wiary w potrzebę
aktywnego działania.

O „Powtórce z ideologii” mo-
żna pisać w kategorii powieści
społeczno-politycznej, choć mo-
że autor wcale tego nie zamie-
rzył. Bo też stworzył powieść
różną od tych, które wydają
się ostatnio (notabene daje się
zauważyć niejaki urodzaj w ga-
tunku powieści politycznej). Nie
ma w niej mrocznych kulis, pa-
zernych karierowiczów, zawa-
łów na które cierpią prominen-
ci, nie ma też politycznych
monologów wspieranych cytata-
mi z klasyków, intryg i prosta-
ckich lajdactw. Nawet wydarze-
nia, w które obfitowała nasza
powojenna historia, a które w
powieści musiały się pojawić,
przybierają charakter bardziej
ludzki, nie zmilotizowany. A
to dlatego, że autor przedstawia
cały powieściowy świat z per-
spektywy człowieka, który chce
być odpowiedzialny za innych
ludzi, tych najbliższych z krę-
gu rodziny i tych za których
przyszłość mu odpowiadać z ra-
cji pełnionej funkcji i obo-
wiązków. Piotr Borowski, An-
drzej Bubowicz i Feliks Grobel-
ny chcą w sposób godny i po-
trzebny innym przeżyć życie.
Powieść Józefa Spychalskiego
przekonuje, że jest to możliwe.

Słowa „rzetelny”, „uczciwy”,
„prosty”, „wiarygodny” pojawiały
się w tej recenzji najczęściej.
Nie są to może oceny, jakimi
obdźbia się wielkie dzieła lite-
rackie. Nie zabrzmi chyba de-
magogicznie jeśli powiem, że
równie trudno stworzyć wybit-
ne dzieło jak napisać książkę,
o której czytelnik może wyra-
zić opinię: to uczciwa i rzetel-
na powieść.

GRZEGORZ GAZDA

Józef Spychalski, „Powtórka
z ideologii”, Wydawnictwo
Łódzkie, Łódź 1986, s. 221, cena
140 zł.

Z półki recenzenta

EPITAFIUM DLA PRZYJACIÓŁ

Adolf Rudnicki napisał książkę, która prze-
mawia do mnie najślimiej z całej jego dotych-
czasowej twórczości. Nosi ona dość zagadkowy
tytuł „Krakowskie Przedmieście pełne deserów”
i jest swoistym epitafium dla jego zmarłych
przyjaciół: Mieczysława Jastruna, Jerzego An-
drzejewskiego, Józefa Prutkowskiego, Stanisła-
wa Jerzego Lecca... Jest to także rejestr przemy-
śleń i zapis przeżyć intelektualnych autora
„Niekochanej”. Książka mądra, choć tak bardzo
osobista, sięgająca do uogólnień, choć ogranicza
się do rzeczy i spraw jednego człowieka, który
postanowił pożegnać na zawsze swoich zmar-
łych przyjaciół.

Adolf Rudnicki: Krakowskie Przedmieście
pełne deserów. PIW 1986. Str. 300. Cena 250 zł.

OPOWIEŚĆ O WIERCHU LUBASZU

Otrzymałmy wybór bajek i podań z różnych
zakątków Bułgarii, a pochodzących z różnych
wieków i mających u swych źródeł podania Sło-
wian, Protobułgarów, Greków, Traków, Turków,
Czerkiesów, Ormian, Żydów, Cyganów, Woło-
chów i pozostałych ludów, które w ciągu wie-
ków przemierzyły tereny należące dziś do Lu-
dowej Republiki Bułgarii. Wiele z tych podań
i legend posiada wątki wspólne i dla naszych
podań i legend choć są osadzone w realiach
bałkańskich.

Przekład Danieł Tomczak-Baszkiewicz i Ma-
rył Wiśniewskiej-Kacprzak.

Opowieść o wierchu Lubasz. LSW 1986. Str.
208. Cena 800 zł.

KSIAŻĘ BISKUP

Pełny tytuł tej publikacji brzmi: „Książę bi-
skup warmiński Ignacy Krasicki 1735—1801”, a
została ona napisana przez Paula Caziną znawcą
i zasłużonego tłumacza literatury polskiej na
język francuski. Książka była rozpoczęta zaraz
po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w
1918 r., a ukończona w 1940.

Jest to niewątpliwie praca ważna, tym bar-
dziej, iż napisał ją nie Polak, a Francuz zafas-
cynowany naszą kulturą i historią. Znajdujemy
w niej materiał znakomicie uzupełniający naszą
wiedzę o życiu i kulturze XVIII-wiecznej
Polski.

Paul Cazin: Książę biskup warmiński Ignacy
Krasicki 1735—1801. Wyd. Polzezierze 1986. Str.
466. Cena 700 zł.

PAP W HERBIE

Autor we wstępie pisze, że reporter agencji
prasowej ogląda historię od strony kulis. Wie-
rzę mu bez zastrzeżeń, jako że Stanisław Gła-
biński ponad 30 lat przebywał w pobliżu „wiel-
kiej polityki” zarówno w Polsce jak i w Chi-
nach czy USA. A co widział i słyszał opisał w
omawianej tu książce noszącej tytuł: „PAP w
herbie”.

Bardzo gorąco zachęcam do lektury tej książ-
ki napisanej z humorem, bardzo dowcipnie, a
jednocześnie pełnej zdarzeń wybranych z naj-
nowszej historii. I jeszcze jedno: Stanisław Gła-
biński to przecież także częścią powojennej hi-
storii naszej prasy, szczególnie historii Polskiej
Agencji Prasowej.

Stanisław Głabiński: PAP w herbie. KiW
1986. Str. 252. Cena 320 zł.

KULTURA WALCZĄCA

Ostatnia wojna — jak zresztą każda wojna
— wyrzyła głęboki ślad w naszej kulturze naro-
dowej. A jaka była ta kultura w czasie okupa-
cji? Na to pytanie stara się odpowiedzieć oma-
wiana tu książka nosząca tytuł „Kultura wal-
cząca 1939 — 1945. Z dziejów kultury polskiej
w okresie wojny i okupacji”. Jest to pozycja
na naszym rynku wydawniczym ważna, ukazu-
jąca walkę podbitego, lecz nie pokonanego na-
rodu o swoją ciągłość nie tylko biologiczną, ale
i kulturową.

Wiesław Głębocki, Karol Móraski: Kultura
walcząca 1939—1945. Z dziejów kultury polskiej
w czasie wojny i okupacji. Wyd. Interpress
1985. Str. 320. Cena 650 zł.

„SOLARIS” I „NIEZWYCIĘŻONY”

W edycji dzieł Stanisława Lema ukazał się
kolejny tom zawierający dwa znane (przy tym
„Solaris” sfilmowany) utwory, których na do-
brą sprawę nie potrzeba reklamować ani zache-
cać do ich przeczytania. Stanisław Lem —
człowiek twórczo, a przecież już klasyk — stał
się jednym z najbardziej poczytnych autorów
książek futurologicznych określanych mianem
utworów science fiction. A że nas zachwyca? Człowiek
zawsze dążyć będzie do nieosiągalnego,
do czegoś, co być może nigdy nie stanie się
jego udziałem.

Stanisław Lem: „Solaris”, „Niezwykły”.
Wyd. Lit. 1986. Str. 436. Cena 420 zł.

Oprac. E. IW.

Tęsknoty krytyka

W ekspozycji do zbioru wypowiedzi krytycznych próbuje Leszek Bugajski określić własną postawę. Nieco paradoksalnie można by ją nazwać poszukiwaniem literatury poszukującej. Znajdziemy tu trochę kokieterii, tęsknotę do idealnych bytów literackich, a może nawet do odrzutu przeciwko codziennej orce recenzentki, na którą Bugajski — już choćby z racji prowadzenia działu krytycznoliterackiego „Życia Literackiego” — został niejako skazany. Penetruje on rynek czytelnicy od dawna, starając się być rzecznikiem najciszejszych związków literatury z realiami życia społecznego, traktując przy tym literaturę i jako pocieszenie strapiionych i jako tę domę, która powinna przynieść wiedzę głęboką i niezafalszowaną przez koniunkturę czy modę. Można powiedzieć, że jest to stanowisko pryncypialne. Cóż z tego, skoro pozostaje głosem wołającym na puszczy. Trudno zresztą oczekiwać, by Bugajski nie był tego świadom. Dlatego też nie powinno dziwić, że na co dzień stosuje on nie tyle taryfę ulgową, co po prostu rezygnuje z marzeń — czytając przede wszystkim z obowiązku, a więc bez uniesień i — nierzadko — bez satysfakcji.

Wątpliwe przy tym pocieszenie, że nie tylko on znajduje się w takiej sytuacji. Jedyne, czego Bugajskiemu można pozazdrościć — to wytrwałości w oczekiwaniu, iż literatura nasza wcześniej czy później do palących problemów rzeczywistości powróci. Czasem tylko da znać o sobie niecierpliwość, postawa czekającego na Godota staje się coraz bardziej nużąca: „Odkąd tylko bliżej zajalem się literaturą, zacząłem śledzić, jak też nasza literatura patrzy na nasz świat, co w nim widzi, co chce widzieć, co chce i może pokazać swojemu czytelnikowi. I od tego momentu żyję oczekiwaniem, żyję w strachu, że moje oczekiwania i nadzieje się nie spełnią. Widzę, że są pisarze posiadający wielką i budzącą szacunek wiedzę o człowieku, ale to jest wiedza o człowieku w ogóle, a nie wiedza o człowieku żyjącym tu i teraz. (...) Jest dość pokazywany odłam literatury uławianej o tematyce quasi-społecznej, ale często używanie w odniesieniu do tego piśmiennictwa określenia literatura jest lekką przesadą. (...) Pozostała tylko nadzieja, że kiedyś natknę się na powieść opisującą naszą rzeczywistość, nas samych. Nie oczekuję weryzmu ani «małego realizmu», oczekuję prawdy o nas, o naszych uczuciach, sposobie myślenia...»

Tak więc — zdaniem krakowskiego krytyka — mamy literaturę współczesną i zarazem jej

nie mamy, bo brakuje prozy realistycznej z prawdziwego zdarzenia, bo „nie zostaje opisane autor i innych ludzi tu i teraz”, bo literatura przegrywa konfrontację ze środkami masowego przekazu, cierpi na chroniczny niedowład treści i pielęgnuje sztukę unik. Długo jest rejestr przewinień, o które Leszek Bugajski oskarża prozę. Jest ona anemiczna, zdaje się twierdzić, bo nie karmi się zdrowym mięsem rzeczywistości, bo gardzi razowym chlebem powszedniości. A może jednak autor „Pózy prozy” zbyt wiele sobie po literaturze obiecuje i za dużo wymaga od bieżącej produkcji literackiej? Może i karma nie jest tak apetyczna i pożywna? O czym by świadczyć mogła między innymi zastanawiająca wstrząsliwość i wybredność publicystów...

Prozę przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zgrywał Bugajski w trzech działach: „Gdzieś daleko... Kiedyś dawno...”, „Tu i teraz” (a jednak!) oraz „Podróż wewnętrzna”. Takie byłyby więc trzy zasadnicze „pozy”: oddalenie w czasie i przestrzeni czyli zwrot ku historii bądź cudzoziemskiemu realism, pozorne lub spóźnione reakcje na polską rzeczywistość, wreszcie zamknięcie się w świecie wyobrażeń inspirowanych przeżyciami natury wewnętrznej. Rzecz prosta, podział to w znacznym mierze umowny. Główną jego zaletą pozostaje przejrzystość pozwalająca czytelnikowi na wyłowienie postaw indywidualnych, jak i odrębnych akcentów w piśmarstwie bez mała trzech dziesiątków autorów.

W poprzedniej książce („Następni”) Bugajski posłużył się kategorią pokolenia literackiego jako podstawowym kryterium porządkującym literaturę współczesną. Tym razem wyróżnik ów przeszedł na plan dalszy, jakkolwiek z dużą uwagą śledzi krytyk poczynania rówieśników (wśród nich Wita Jaworskiego, Juliana Kornhausera, Jana Komolki, Piotra Müldnera-Nieckowskiego czy Krzysztofa Karaska). Ze zrozumieniem, a może tylko z wyrozumiałością, odnotowuje dominujący w prozie dzisiejszych trzydziesto-czterdziestolatków ton płaczącego rozczarowania wywołanego nieprzystawalnością głęboko humanistycznych wyobrażeń wobec chropawej rzeczywistości. Tę postawę dobrze oddaje wzięte z Maxa Frischa powiedzenie: „Życie idzie dalej, ale nie naprzód, milcząc powstaje pytanie, kto jest temu winien...” I właśnie brak odpowiedzi zdaje się boleć krytyka najdotkliwiej.

Ale przecież Leszek Bugajski nie jest w końcu krytykiem pokoleniowym, chociaż może naj-

wiennie i z ogromnym zaangażowaniem towarzyszy różnym dokonaniom spod znaku tak zwanej młodej prozy. Z równym zainteresowaniem śledzi książki naszych literackich tużów: Jerzego Andrzejewskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Juliana Strykowski, Jerzego Krzysztonia, Mirona Białoszewskiego, Władysława Terleckiego, Bernarda Sztajnera. Wyraźnie zaznacza się jedna z przesłanek uprawiania krytyki literackiej w rozumieniu Leszka Bugajskiego — potrzeba interpretacji wnikliwej, szanującej autorską intencję. Jeśli tedy brać serio zapewnienia autora „Pózy prozy”, iż znajduje się on w sytuacji krytyka w poczekalni — to i odnotować należy, że stara się on docenić książki, które skracają i uprzyjemniają czas oczekiwania.

Nie podejrzewam Leszka Bugajskiego, by nie brał on pod uwagę oczywiście wręcz możliwości, że pobyt w poczekalni trwać może długo. Potwierdza to pewna przewrotność, jaką dostrzegam w jego tekstach. Oto bowiem krytyk umie robić oko do czytelnika i przyznać, iż proponowane odczytanie współczesnej literatury polskiej to tylko jeden z wariantów. Książki bowiem trzeba czytać samemu, by je odkryć do końca i zrozumieć. Skromnie tedy widzi Bugajski rolę krytyki literackiej w dzisiejszym świecie i jakby wbrew temu, co deklarował w ekspozycji — usprawiedliwia literaturę i nawet uwalnia ją od obowiązków, zadowalając się różnorodnością. Ta wyraźna niespójność deklaracji i praktyki krytycznej daje do myślenia. Podobnie jak czyta z Krzysztonia przywołany w jednym z rozdziałów zamiast podsumowania: „Każdy, kto naprawdę jest sobą, ma największą szansę zostać uznanym za wariata (...), każdy z nas, każdy człowiek, jest wariatem in spe. Nie darmo termin ten wywodzi się od łacińskiego słowa varius, czyli różny”.

Literatura pozostaje sobą gdy jest mitem, wcieleniem mitu, jego przedłużeniem. Ale Leszek Bugajski powiada o tym jakby od niechcenia, ciągle bowiem nie może uwolnić się od swej wielkiej, obsesyjnej tęsknoty — tęsknoty do takiej literatury, która okazałaby się czymś wielkim i przede wszystkim potrzebnym całemu społeczeństwu.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Leszek Bugajski: „Pozy prozy”, Czytelnik, Warszawa 1986, nakład 10.320 egz., cena zł 810.—

Komu nagroda „Odgłosów”?

Na powyższe pytania odpowiada sekretarz łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej dr JANUSZ MARCHEWA.

Powinno się zacząć od tego, co rozumiemy przez kulturę upowszechniania. Z ogromu definicji trzeba jednak zdecydować się na wszystkie propozycje, które pojmują kulturę szeroko, a więc zarówno jako efekty jak i procesy tworzenia dóbr kultury. Do tego jeszcze dorybny normy wartości i wzory zachowań, czy wreszcie wytworzone przez ludzi dzieła naukowe, artystyczne, społeczne, techniczne. O tym, że funkcjonuje tak pojmowana kultura świadczy pojęcia: kultura codzienna, kultura żywego słowa, kultura współczesna, kultura techniczna. Oczywiście kulturoznawcy oraz socjologowie zajmujący się problematyką kultury próbują zawęzić definicję kultury, jednakże życie biegnie swoimi torami, a tym samym zmusza ich do przyjmowania wielu definicji za słusze i użyteczne. Wynika to również z faktu, że pojęcie kultury — nawet tak szeroko rozumianej — zmieniło się w ciągu dziesięcioleci. Utożsamiono ją z cywilizacją. Dopiero w XX wieku uważano, że są to wytwory myśli i ducha. Współczesne dyskusje na temat klasyfikacji pojęć związanych z kulturą muszą uwzględnić również wszelkie zmiany, jakie zachodzą w życiu codziennym, nacisk środków masowego przekazu, zmieniające się ciągle normy, gusta itp.

Przedmiotem kontrowersji jest w dalszym ciągu sprawa tzw. kultury elitarnej i kultury masowej, choć nie ulega przecięt wątpliwości, że gwałtowny rozwój środków masowej komunikacji sprzyja stopniowej demokratyzacji kultury, a tym samym zaciera granicę między kulturą elitarną a masową. Pewnym fenomenem socjologicznym jest obecnie dobrze pojmowane snobownictwo na kulturę wysokiego lotu, modne bywa pokazywanie się na wernisach, spektaklach operowych. Aktywizuje to uczestnictwo w życiu kulturalnym, zwłaszcza w dużych ośrodkach miejskich. Ten fenomen socjologiczny najbardziej jest widoczny w działalności łódzkiego Teatru Wielkiego.

W tym kontekście przez upowszechnianie kultury można rozumieć planową działalność zmierzającą do przyspieszenia obiegu najwzrostowskich dóbr kultury wśród najszerszego grona odbiorców, zwłaszcza tam, gdzie dostęp do kultury jest, ze względów społecznych i terytorialnych ograniczony.

Trudno oczekiwać od pracownika oficyny wydawniczej, aby nie bronił pozycji książki i literatury, jej roli w upowszechnianiu kultury, mimo że literatura, a ściślej mówiąc książka, utraciła w dobie totalnej inwazji mass-medium na mieszkańców naszej planety, dominującą pozycję jako źródło informacji o świecie, źródło interpretacji świata. Jest w tym paradoksy dla książki, której nie wolno pisać, wydawcom i czytelnikom przeoczyć. Biorąc pod uwagę ludzi szuka intymnego, bardzo indywidualnego kontaktu ze sztuką. Książka zapewnia nam taki luksus. Dlatego można sądzić, iż nawet w dalszej perspektywie zapotrzebowanie na książkę, na atrakcyjną książkę, pozostanie nadal. Utrzyma się przez to podstawowa funkcja pisarza, praca nad słowem. W dobie komputeryzacji naszego życia codziennego, cywilizacji słowa pisanego będzie wyspa, na której chętnie będziemy przebywać.

Przewidywanie doniosłości książki w perspektywie rozwoju kultury musi uwzględnić fakt, iż technika poligraficzna poczyni dalsze postępy i pod względem graficznym książka ulegnie istotnym zmianom. Proces produkcji książki zostanie skrócony do niezbędnego minimum, a odpowiedni dobór czcionek zwiększy czytelność druku itp. Z tych wszystkich przesłanek wynika moja teza, iż najbardziej zaniedbanym ogniwem skomplikowanego procesu upowszechniania kultury jest wysiłek towarzyszący sztuce drukarskiej. Drukarze od dawna byli jakby na dalszym planie, zawsze bliżej wierzchołka można było odnaleźć pisarzy, wydawców, krytyków, a przecież również od drukarzy zależy efekt końcowy tego wspólnego wysiłku, jakim jest książka. Łódź jest prawdziwym kombinatem poligraficznym, tu produkuje się miliony książek, które trafiają do rąk czytelników w całej Polsce i poza jej granicami. Stojąc na stanowisku, że drukarz w procesie upowszechniania kultury odgrywa nie małą rolę. Za lapidarną informacją umieszczoną w każdej książce, że druk wykonał takie a nie inne zakłady graficzne, kryje się wysiłek, dobra wola i zrozumienie setek towarzyszy sztuce drukarskiej, którzy ponadto mają świadomość, że uczestniczą w procesie tworzenia kultury narodowej.

Myślę, że laureatem tegorocznej nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury, winien być jeden z towarzyszy sztuki drukarskiej.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Najważniejsze jest zaufanie

Rozmowa z TOMASZEM SŁAWOMIREM SZADKOWSKIM, zdobywcą Brązowych Łwów na XI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku.

— Jesteś twórcą bardzo młodym, którego nazwisko do momentu ogłoszenia werdyktu XI EPFF w Gdańsku nie praktycznie nikomu nie mówiło. Chciałbym Cię prosić zatem, abyś na początek coś o sobie powiedział.

— Ukończyłem kulturoznawstwo właśnie w Łodzi, a następnie reżyserię na Wydziale Radia i TV Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Podczas studiów zrealizowałem dla potrzeb szkolnych dwie etudy fabularne oraz dokument pt. „Papierowe labirynty”. Już po studiach powstały „Podstrzyżyny”. Jest to także film dokumentalny. Moim właściwym debiutem fabularnym jest „Ucieczka”.

— Za ten właśnie film Jury tegorocznego festiwalu przyznało Ci Brązowe Lwy w kategorii debiutów telewizyjnych. Czy przypuszczałeś, że Twój film zostanie tak dobrze przyjęty?

— Muszę się przyznać, że otrzymywanie Brązowych Łwów całkowicie mnie zaskoczyło. Na to nagrodę po prostu nie liczyłem. Może o tym świadczyć fakt, że nie byłem przygotowany na ewentualną uroczystość rozdania nagród. Jadąc do Gdańska nie zabrałem nawet z sobą odpowiedniego ubrania.

— Ale podczas uroczystego rozdania nagród miałeś na sobie marynarkę?

— Pożyliśmy ją w ostatniej chwili.

— Publiczność festiwalowa w Gdańsku ma swoją określoną specyfikę. Potrafi być bezwzględna w stosunku do filmów niedobrych. Przekonali się już o tym nawet twórcy uznani. Nie obawiałeś się takiej konfrontacji swojego filmu z tą publicznością?

— Gdański festiwal jest najważniejszą imprezą tego typu w Polsce. Przyjeżdża tu co roku wielu uznanych twórców, krytyków, dziennikarzy, a więc ludzi zawodowo zajmujących się filmem. Cóż może odczuwać debiutant prezentujący w ogóle po raz pierwszy w życiu swój film publiczności, i to na dodatek takiej. Tylko tremie! Jest to uczucie paraliżujące.

— Muszę przyznać, że jesteś skromny. Nie każdy by się do tego przyznał. Wróćmy jednak do spraw związanych z Twoim filmem. „Ucieczka” udało Ci się zrealizować w wieku 29 lat. Nie każdemu taka sztuka się udaje.

— To prawda. U nas przyzwyczajaliśmy się do reżyserów coraz częściej debiutujących w okolicach „ryczących czterdziestek”, a musisz przyznać, że nie jest to sytuacja normalna. Dla mnie możliwość tak szybkiego debiutu zaistniała w postaci konkursu na scenariusz filmu TV, jaki ogłosił Zespół „Tor”. Kiedy dowiedziałem się o tym, usiadłem przy maszynie i napisałem w ciągu pięciu dni i nocy scenariusz „Uciecz-

ki”, który wygrał. Wygrana teoretycznie zagwarantowała mi debiut.

— Jak to teoretycznie?

— W praktyce TV, która miała mi zapewnić debiut później trzykrotnie wycofywała się z podjętych zobowiązań. Bardzo pomógł mi wówczas Zespół, a przede wszystkim Krzysztof Kieślowski. W końcu po licznych perturbacjach udało się film zrealizować.

— W tym momencie uśmiechasz się. Mogę wiedzieć z jakiego powodu?

— Coś mi się przypominało. Pewna historia. Otóż kiedy się robi swój pierwszy, poważny film, to człowiek zachowuje się jak desperat, próbując nawet załatwić pewne rzeczy niezbyt formalnie. Ja w pewnym momencie chciałem zarobić pieniądze, które bez zmuszenia oka wpakowałbym w film. Miałem znajomego reżysera z Iraku. Zaproponowałem mu pokazanie scenariusza w TV w Bagdadzie. Niestety tamtejszy ośrodek został zbombardowany. Nie z tego nie wyszło. Moją opowieść potraktuj jako anegdotę, ale świadczy ona o przemożnej chęci robienia kina, jaka tkwi chyba w każdym debiutancie.

— Z tego co opowiedziałeś wynika, że masz tzw. „siłę przebiecia”.

— Największą siłę przebiecia powinien mieć baran. Według mnie cała sprawa nie polega na sile przebiecia, ale raczej na uporze. Tyle się trzeba nachodzić, zameczać różne osoby, że w końcu mają cię dość.

— I pozwalają Ci wówczas robić film?

— Mniej więcej. Realizacja filmu fabularnego wymaga tylu kompromisów i zmagania z tyłoma trudnościami, że czasami zastanawiam się, czy w przyszłości nie zająć się tylko filmem dokumentalnym.

— Sądzisz, że byłoby to jakiegoś wyjście z sytuacji.

— Myślę, że tak.

— Powróćmy jeszcze do spraw związanych z „Ucieczką”. W jaki sposób udało Ci się namówić do niewielkiej przecież roli tak znakomitego aktora, jakim jest Jerzy Stuhr?

— Stuhrowi spodobał się scenariusz i rola, choć muszę powiedzieć, że nie była ona pisana z myślą o nim. Największy problem mieliśmy z dograniem terminów. Udało się to we Wrocławiu, gdzie kręciliśmy, a Stuhr miał tam przedstawić „Kontrabasisty”.

— Obecność Jerzego Stuhra chyba Ci pomogła?

— Naturalnie. Jest to aktor, który ma szczególny dar improwizowania dialogów, które są

bardzo zabawne. Dzięki temu udało się podczas pokazów rozbawić w kilku miejscach publiczność, a to chyba istotne przy dość poważnym temacie filmu.

— Bohaterami „Ucieczki” są ludzie bardzo młodzi. Czy pragniesz zatem trafić tym filmem głównie do ludzi młodych?

— Wydaje mi się, że młodzież zrozumie moich bohaterów. Przecież nie przypadkiem są oni tacy młodzi. Jednocześnie są oni żywymi outsiderami, nikt ich nie chce. Chciałem pokazać, jak między chłopakiem i dziewczyną rodzi się uczucie, które ma znaczenie terapeutyczne. Obecnie w dobie skomplikowanych relacji międzyludzkich trzeba poszukiwać wartości podstawowych, takich jak przyjaźń czy miłość. Nie chciałbym być teoretykiem własnej twórczości, ale o takich uczuciach opowiadał w „Ucieczce”.

— W filmie wyraźnie można zauważyć pewne odwołania do niektórych pozycji światowego kina. Zgodzisz się z tym stwierdzeniem?

— Tak. Są tu obecne pewne odwołania nie tylko filmowe, ale i literackie. Jedną z moich ulubionych powieści są „Myszy i ludzie” Johna Steinbecka. Ślady tej książki w jakiś sposób są widoczne w moim debiucie. A jeżeli chodzi o fascynację kinem, to najbardziej lubię kino amerykańskie z lat siedemdziesiątych, a w nim takie pozycje jak: „Strach na wróble” Schatzberga, „Nocny kowboj” Johna Schlesingera czy „Swobodny jeździec” Dennisa Hoppera. Bohaterowie tych filmów są człościami z krwi i kości.

— To tak, jak w twoim filmie.

— No właśnie. Żyją oni „w drodze”, są w nieustannym wędrówce. Ten motyw mnie interesuje. Podobno mi się klimat tych filmów. Wszystko jest w nich takie naturalne. Z kolei ostatnio kolosalne wrażenie zrobił na mnie film „Zdarzyło się pewnego razu w Ameryce” Sergia Leona. Jest to film gangsterski, ale jednocześnie opowiada o bardzo głębokich sprawach, chociażby o uczuciach. A tak w ogóle to uważam, że najważniejszą rzeczą w kinie jest to, aby widzowie utożsamiali się z bohaterami, których oglądają.

— Nawet z bohaterami negatywnymi?

— Cały czas rozmawiam o wartościach pozytywnych i o takie mi chodzi.

— Kiedy zobaczymy „Ucieczkę” w telewizji.

— Na to pytanie niestety nie potrafię Ci odpowiedzieć.

— Co dalej debiutantcie?

— Na razie nie mam motywacji do zrobienia dużego filmu fabularnego. Suma kompromisów jest tak duża, że film wychodzi okaleczony.

— Dziękuję Ci za rozmowę.

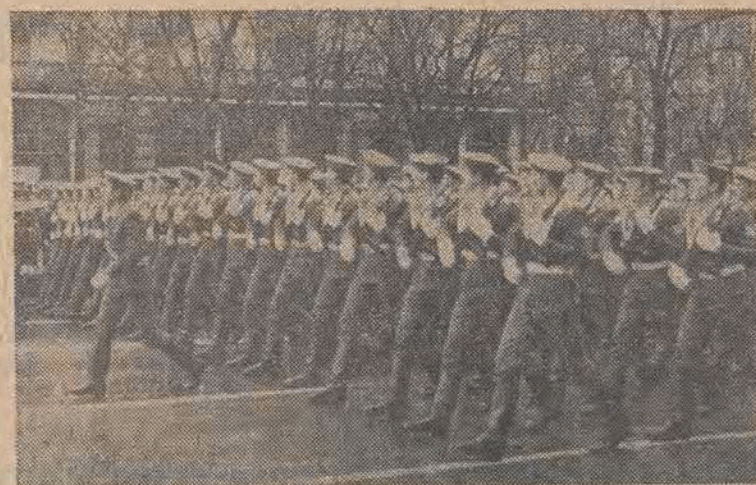
Rozmawiał: WALDEMAR BĘDZIŃSKI

KIJÓW, 7 LISTOPADA 1986 ROKU

Zdjęcia: GRZEGORZ GAŁAŚNICKI
Tekst: ROMAN KUBIAK



Rulon przywiozła ciężarówka. To był zrolowany płat białego płótna, szeroki na dwadzieścia kilka metrów i wysoki jak ściana sześciopiętrowej kamienicy. Na tym płótnie wymalowano oblicze Lenina. Ośmiu robotników chciało delikatnie rozwinąć ten rulon, a dźwig miał go unieść pod sam dach budynku. Lecz wiał silny wiatr, który targał płótnem i niweczył trud tych ośmiu. Wtedy na głównej alei miasta zamarł uliczny ruch. I naraz dziesiątki obcych rąk przechodniów chwyciły białe krawędzie i poniosły małunek ku ścianie przeznaczenia. Te dionie jeszcze przed chwilą dźwigały teczki i pękate siatki ze świątecznymi zakupami. A teraz bez żadnej komendy porzuciły własne pakunki, by razem nieść obraz z twarzą Wodza Rewolucji. Delikatnie, w skupieniu i bez słów. Takich migawek nie ogląda się dziś na ulicach zatłoczonych, kipiących pośpiechem miast. Tam każdy trwa przy swoim małym światku skurczonym do rozmiarów własnej torby. Mało kogo obchodzi, co dzieje się z płachtą białej tkaniny albo z drugim człowiekiem. Tutaj, w Moskwie, Kijowie, czy w Baku taki widok poraża swą normalnością. Jest zwyczajnym tłem przedświątecznej ulicy. Wtedy przystaje się gdzieś obok i zachłannie patrzy się jak tych stu, a potem dwustu obcych sobie ludzi zgodnie zmierzających do celu. A później, kiedy obraz jest już na ścianie, tych dwustu klaszcze w dłonie i szybko idzie do swych domów, bo jutro jest największe święto.



O świcie rusza wielkie sprzątanie. Nie myślałem, że można tak pieścić ulicę, jak dba się o bezcenny perski dywan. Ze można szczotkami szorować trotuary, myć krawężniki, zblozony asfalt pędzlować ciepłą wodą i miękką ściereczką wycierać kosze na śmieci. Widziałem ludzi, którzy godzinami myli kamienne pomniki, na kolanach czesali przydomowe klomby, pucowali kilometry ażurowych płotów. Wiatr zrywał poźółkle liście z drzew, a ludzie uparcie zbierali je w parciane worki. Aż do zmroku.

Nocą zapłonęły wszystkie girlandy. Długie łańcuchy kolorowych światełek na dachach domów, w oknach, na balkonach. Gigantyczne neonowe czerwone gwiazdy i białe jupitery skierowane na szumiące fontanny. Wielkie, barwne napisy świecą mocniej niż uliczne lampy. Nocą w blasku neonów wojsko ćwiczy defiladowy krok. Wojsko kroczy w miękkich butach, a kierowcy ciężkich, bojowych wozów delikatnie naciskają dźwignie gazu. Dowódcy podają ciche komendy. Miasto już śpi. Bo jutro jest największe święto tego kraju — 69 rocznica Rewolucji Październikowej.

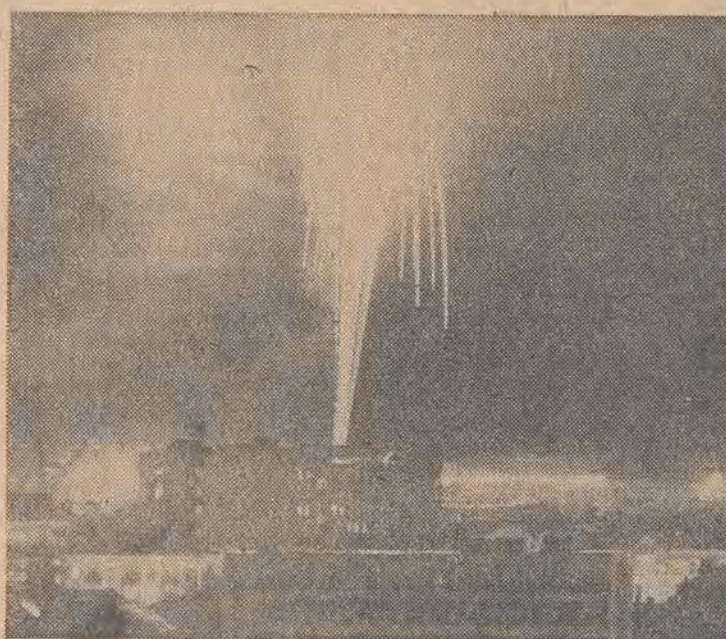
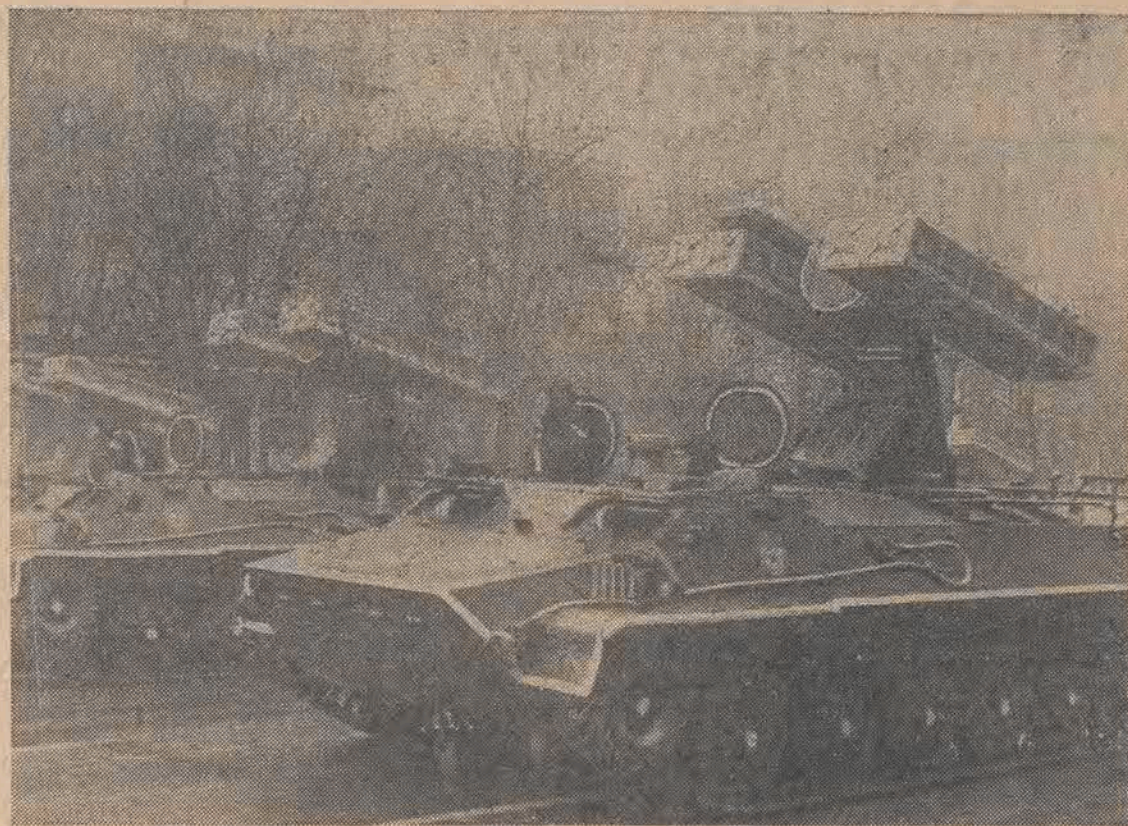
Kijów, 7 listopada 1986 roku. Rano prosiły pierwszy tegoroczny śnieg. Elektroniczny termometr na wieży pokazuje tylko dwa stopnie ciepła, więc kijowianie zakładają futrzane czapki. W centrum miasta nie poruszają się żadne pojazdy, całą szerokością ulic i prospektów suną tłumy. Wszyscy idą na Kreszczatki, gdzie tradycyjnie będzie defilada. Tutaj ludzie kochają wojskowe defilady. Tutaj mundur, to naprawdę wielka sprawa i duży honor. Starsi ciągle noszą swe spłowiałe czapki, te z Ojczyźnianej Wojny. Dawne ich mundury już nie chcą utrzymać rzędów medali, dlatego frontowcy przypinają ordery do świątecznych marynarek. I obowiązkowo drepcą na Kreszczatki. Tam w zwartych szeregach stoją młodzi żołnierze. Są okropnie przejeżdżeni: tym, że noszą mundury i tym, że frontowcy patrzą na nich. Nigdy nie widziałem tylu młodzieńców, tak do bólu przejeżdżonych twarzami.

O dziesiątej zaczyna się defilada. Defilada to okrzyk milionów gardel i łoskot tysięcy zjednoczonych kroków. To robi kolosalne wrażenie. Okrzyk biegnie falą wzdłuż alei, aż po kres Czerwonarmijskiej i wraca gromkim echem. W głosie milionów jest taka przejmująca siła, której nie zanotuje magnetyczna taśma. Głos świszczący jak armatni pocisk i wraca echem wystrzału. Podkute buty walą w równy asfalt, a gąsienice szeleszczą miarowo. Starzy frontowcy przeją się na widok bojowych sztandarów, a potem mocno klaszczą w zylaste dłonie, bo ci w szeregach i ci na pancerzach czołgów prezentują się jak trzeba. Za wojskiem idzie młodzież i kroczą robotnicze załogi. Jest zimno, ale idący odrzucają ciepłe płaszcze, by nie przeszkadzały w równym kroku.

Po obiedzie kijowianie wychodzą na świąteczny spacer. Pod pomnikiem Lenina fotografują się nowożeńcy. Taki jest tutejszy obyczaj. Nie dlatego, że dziś właśnie jest wielka rocznica, ale dlatego, że kwiaty u stóp Wodza po swym ślubie składali już ich dziadkowie.

Z rodzinnego spaceru wraca się z lodowym tortem. I chociaż jest listopad, wszyscy niosą okrągłe pudła z lodowym deserem. Lody są przysmakami ulicy. Nawet dziś, w świąteczne popołudnie można kupić je niemalże co krok. Więc przechodnie w futrzanych czapkach liżą czekoladowe i śmietankowe lody. Idę bulwarem Tarasa Szewczenki i z podziwem patrzę na tych liżących. Termometr na wieży pokazuje tylko plus jeden stopień.

Gorętszy akcent następuje wieczorem. Z trzech wzgórz wielkiego miasta strzelają w niebo rauce sztucznych ogní. Szybują wysoko i rozsypują się deszczem bajecznie kolorowych gwiazdek. Trwa to dobry kwadrans i dobry kwadrans setki tysięcy ludzi przylepia nosy do zimnych szyb.



ODGŁOSY 11

1.

La Vanguardia: „Meksykanie, którzy żyją w Stanach Zjednoczonych, są coraz więcej. Stanowią już znaczną siłę polityczną i z powodzeniem bronią swych interesów. Amerykanie zaś, którzy dużo mówią o niebezpieczeństwie inwazji Latynosów, wolą z przymuszących powodów natury ekonomicznej pozostawić sprawę ich własnemu biegowi i nie chcą na siłę nie zmieniać. Tak, aby każdy dalej mógł spokojnie przekraczać El Muro de la Enchilada”.

Każdy Meksykanin. Nie każdy Polak — jednakże i nie każdy obywatel. Zresztą Meksykanie również nie robią tego spokojnie. Wedle tej samej La Vanguardii:

„(...) jedni prą przez dolinę, która oddziela Mexicali od Calexico, inni przepływają Rio Grande (czyli Rio Bravo), a jeszcze inni przemijają się przez wyżyny, jakimi ustany jest obszar między Tijuana a kalifornijską Chula Vista. Są tacy, co rzucają wyzwanie bandytom, wężom, wilkom, przenikliwemu zimnu i przynajmniej uciążliwej upałowi, i wyruszają drogą wodną przez pustynię Sonora”.

— Gina — powiedział Jose Dolores Lopez. — Milion ludzi na drugim brzegu, kto policzy jednak nieszczęśliwców, których kości zbierały na bezludziu, a krew ubarwiła graniczną rzekę?

2.

Od pięćdziesięciu siedmiu lat rządzą nieprzerwanie w Meksyku PRI, Partia Rewolucyjno-Institucjonalna. Atakują ją z lewej i z prawej, ale rządzą. Kraja na jej temat docierają, ale rządzą. Ktoś powiedział, że mimo swego rewolucyjnego przydomka PRI służy klasie, przeciwko której wybuchła kiedyś rewolucja. Ktoś inny napisał na murze obok wysypiska śmieci, że PRI znaczy tyle, co El Partido de los Rateros Institucionales (Partia Zinstytucjonalizowanych Złodziei).

Tak czy owak, rewolucyjna nazwa zobowiązuje. PRI obchodził uroczyste rocznice wszystkich meksykańskich rewolucji i powstań. PRI czci pamięć wielkich narodowych bohaterów, takich choćby, jak ksiądz Hidalgo, który w 1810 roku porwał Meksykanów do walki z Hiszpanią, jak Benito Juarez, pierwszy indyjski prezydent Meksyku, wybierany zresztą na to stanowisko czterokrotnie; jak przywódca chiopsy: Emiliano Zapata i Pancho Villa, jak prezydent Metys Lazaro Cardenas, który przyspieszył reformę rolną oraz upaństwowił kolej i przemysł naftowy.

PRI nie poprzestaje zresztą na gestach symbolicznych. Modne są ostatnio szarże na Meksyk, i to zwłaszcza w prasie zachodniej, też jakby dotkniętej brakiem sukcesów na Półkarnych Mistrzostwach Świata. Wyciąga się to, co najgorsze, jako że napalmem dziennikarstwa i ulubioną strawą gazet jest sensacja i mieszanie z błotem. Pisze zatem reporter hamburski „Stern” o brudzie, lecz, wierząc mi, prawdziwy brud można zobaczyć w rowach Grecji, stolicy Meksyku natomiast jest względnie schludna, a prowincja lśni czystością jak miasta holenderskie i szwedzkie. Pisze o smogu, lecz wyziewy z rur wydechowych i kominów wiszą nad każdą wielką metropolią szczególnie, kiedy leży ona w dolinie. Pisze o gędzie i zbrodni, tak, jakby nie był nigdy w Bombaju. Pisze o drożyznie i niesprawiedliwości społecznej, tak jakby w Niemczech było taniej i sprawiedliwiej.

Fakty. Od kilku lat, wraz z drastycznym spadkiem cen ropy naftowej, Meksyk przechodzi ostry i dramatyczny kryzys, z którego pozornie nie ma wyjścia. Zadłużenie wobec zagranicy przekracza już 100 miliardów dolarów: rocznie ponad 10 miliardów trzeba płacić z tytułu samych odsetek. A jest jeszcze ogromny dług krajowy, a są jeszcze rozpoczęte i nie dokonane inwestycje, a trwają wciąż skutki strasznego trzęsienia ziemi z września 1985 roku.

Trudno jednak powiedzieć, i tego reporter „Stern” nie napisał, aby PRI (która znaczy tyle, co rząd, wszechwładny prezydent oraz uległy mu parlament) robiła wszystko, żeby wyciągnąć się z kłopotów kosztem najbiedniejszych.

Rewolucja — nazwa zobowiązuje. Telefony uliczne, o czym

wspominałem, są za darmo i działają sprawnie. Metro, wygodne, szybkie, estetyczne i doskonale oznakowane, jest bezsprzecznie najtańszą koleją podziemną na świecie, choć przewozi dziennie kilkadziesiąt milionów ludzi i można by na niej nieźle zarobić. Do 1 sierpnia 1986 roku, przy relacji 658 pesos mógłś pojechać za jednego dolara 658 razy. Państwo dopłacało do każdego biletu 33 pesos. Obecnie dopłaca jedynie trzyście: metro zdrożało. Kosztuje tyle, co średnioklasowy autobus: 20 pesos, co równa się trzydziestu paru przejazdów za dolara.

Zdrożały również artykuły spożywcze. Ot, choćby takie tortillas (nie mylić z omletem hiszpańskim): zastępujące chleb i

Aresztowania. Wiece. Manifestacje. Hasła: „Lud przeciwko rządowi”. „Zwolnić aresztowanych”. „Zdjąć szefa policji w Dystryktie Federalnym”.

Olimpiada startowała 12 października. Dziesięć dni wcześniej studenci zaczęli gromadzić się w okolicach Placu Trzech Kultu.

Cytuję za Grzegorzem Jaszczemskim, autorem książki „Meksykańskie fascynacje” (Warszawa, 1981):

„Okazało się, że kilka tysięcy uczestników wiece otoczonych jest ze wszystkich stron przez dobrze uzbrojone oddziały policji i wojska. Wojsko użyło broni, posłużyło się nawet moździerzami, a rakiety z helikopterów oświetlały pole

co jeden przeżył i wypuścił, a drugi zapał w locie. Cała sprawa polegała na śledzeniu gazet, biuletynów i komputerów, a nie na myśleniu, słuchaniu i patrzeniu.

3.

Roman E. Alatorre urzęduje w ładnym ale niedużym budynku przy Paseo de la Reforma 1435. Przyjął mnie we wtorek, 12 sierpnia 1986 r. o godzinie dziesiątej. Wreczyłem mu na wstępie w imieniu własnym i dyrektora Ireneusza Górskiego (szefa opozycyjnej ceramiki) śliczną, kolorową płytę, wydaną z okazji meksykańskiego mundialu. Była to doprawdy łapówka symboliczna, mająca zjednać mi señora

już wspomnianego (bezpieczeństwo). Dwa, to wolny wjazd do kraju, a więc wizy dla kibiców, reporterów, działaczy i sportowców. Trzy — swobodna wymiana pieniędzy. Cztery — komunikacja. Ochrona, powołany jeszcze raz, kosztowała. Poza tym jednak można tylko mówić o zyskach.

— A modernizacja stadionów? — Owszem, wiązało się to z poważnymi nakładami. Trzeba było zmodyfikować stadion w Leon, Toluca, Toluca i Puebla, gdzie podwójono ilość miejsc. Natrątki, telefony, telexy, bary i kawiarnie, parkingi i dodatkowe wejścia — częściowo zapłacił za ich budowę właściciel stadionów, a częściowo lokalne i światowe władze piłkarskie.

miejsu były biura podróży, na miejscu wypożyczanie aut, na miejscu rezerwacja hotelowa, samolotowa i autobusowa, i tak dalej. Budowa centrum kosztowała prawie dwa i pół miliona pesos, ale, powtarzam, nie państwo za to płaciło, zaś nóród, dziennikarze i fciat będz tego korzystać jeszcze długie, długie lata.

— Mam jednak pewne wątpliwości.

— Jakież? — Myślę o meksykańskim satellicie „Morelos” (nazwa pochodzi od bohatera narodowego Jose Marii Morelosa, przywódcy powstania przeciwko Hiszpanom w 1810 roku). Nie chce pan powiedzieć, że umieszczono go na orbicie kosztem prywatnych przedsiębiorstw?

— Oczywiście, że nie. „Morelos” to sprawa państwowa i państwowy wydatek. Nawiasem mówiąc, aczkolwiek współpracowali przy jego budowie specjaliści zagraniczni, głównie Amerykanie, instalowano go w kosmosie wedle projektu meksykańskiego inżyniera. I nie po to (w każdym razie: nie tylko po to), aby transmitować mundial. „Morelos” po prostu zbiegł się z Mistrzostwami Świata, ale zadania jego i cele są znacznie szersze: polityczne, edukacyjne, kulturalne.

Dzięki niemu program telewizyjny dociera do najodleglejszych zakątków Meksyku, a więc tam, gdzie nie zawsze jeszcze dotarła cywilizacja. Aby rozwiązać pańskie wątpliwości do końca, powiem, iż „Morelos” był zaledwie jedną z czterech stacji satelitarnych, które transmitowały mistrzostwa świata. Partycypowała stacja kanadyjska i dwie stacje amerykańskie. Chodziło o to, aby można było oglądać piłkarską fiestę na wszystkich kontynentach.

— Czyli biedak na mundialu nie stracił?

— Niech mi pan wierzy: nie ma w Meksyku człowieka, który nie wiedziałby, iż kraj przechodzi ciężki kryzys ekonomiczny, i nie ma człowieka, który odważyłby się zorganizować światową imprezę za pieniądze publiczne. Dziennikarze nie pytali mnie jednak o te sprawy na konferencjach prasowych. Obchodzili ich wyłącznie piłka, boisko i plotki. W tym są mistrzami.

— Zarzucano wam między innymi, że ze wstydu przed reporterami i turystami wyłożyście asfalten niektóre piaszczyste ulice w Neza.

— Ano, wyłożyliśmy. I myślę, że było to niepotrzebne. Tego, co zrobisz dzisiaj, nie musisz robić jutro. Neza zyskała. Zyskali biedacy, którym chodzi się teraz i jeździ wygodniej.

— Pomówmy o innych zyskach. Ile zarobił Meksyk na mundialu?

— W sferze materialnej Meksyk jako państwo nie zarobił, podobnie jak nie stracił. Właścicielami pieniędzy ze sprzedanych biletów i z transmisji telewizyjnych była FIFA i 24 kraje biorące bezpośredni udział w rozgrywkach. Trudno zatem mówić o zyskach globalnych. Ale: centrale telefoniczne zarejestrowały w trakcie mistrzostw 42.988 połączeń międzynarodowych. 300 milionów dolarów zostawił w Meksyku turysta, których po ubiegłorocznym trzęsieniu ziemi nie mieliśmy zbyt wielu, a teraz znowu zaczęli napływać. Mundial przekonał ich niejako i uspokoił. Jest to sprawa ogromnie ważna, jeśli wziąć pod uwagę, że w dziedzinie dochodu narodowego turystyka plasowała się jeszcze niedawno na drugim miejscu po naftie. Nie państwo więc, lecz ludność odniosła największe korzyści z imprezy. Zarobili sklepikarze, taksówkarze, hotelarze. Zarobili restauratorzy. Zarobili wytwórcy i sprzedawcy pamiątek. Zarobili pucyści, muzycy i politycy. Można by rozszerzyć tę listę.

— Na czym w takim razie polegają korzyści państwa?

— Państwo oraz z całym narodem odniosło wielki sukces propagandowy. Osobiście na czółowym miejscu stawiam fakt, iż dzień w dzień przez okrągły miesiąc 150 krajów ze wszystkich kontynentów świata oglądało w telewizji przed każdym meczem krótkometrażowy film o Meksyku. Nie mniej ważny jest puchar Fair Play. Po raz pierwszy w długiej historii mistrzostw przyznano to wyróżnienie publiczności i była to właśnie publiczność meksykańska.

Wszedł goniec z telegramem. Señor Alatorre przeczytał, mruknął: — FIFA — i ciągnął.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Chwyt odwetowy

(Korespondencja z Meksyku)

ubóstwiane przez Meksykanów placki z maki kukurydzianej, z których robi się tacos, jeśli kogoś stać, aby włożyć do środka skrawki mięsa lub sera. Oficjalna cena tortillas wzrosła z 20 do 80 pesos za kilogram, ale biedota otrzymała kartki i nabywa je w wydzielonych sklepach po starym kursie. To samo dotyczy frijoles (czarnej fasoli), mleka i ubrań dla dzieciaków z najuboższych rodzin.

„Stern” (nr 22 z 1986 roku) wyraża w przedmundialowej korespondencji obawę czy nekany kryzysem Meksyk, „biedzie mógł tak się cieszyć, tak śpiewać i tańczyć, jak wówczas, w 1968 roku w czasie Igrzysk Olimpijskich i w 1970 roku w czasie pierwszych piłkarskich mistrzostw świata. Wtedy Meksykanie marzyli o bogactwie dla wszystkich, ich wzrost gospodarczy wyniósł ośmiem procent, wielkie wydarzenia sportowe symbolizowały optymizm narodu”.

Reporter „Stern” dopuszcza się haniebnej arogancji. Meksykańskim Igrzyskom Olimpijskim z 1968 roku towarzyszyła wielka tragedia narodu. Nie wolno zapominać, że już wówczas były głosy, iż nie wolno organizować w ubogim kraju tak ogromnej imprezy, za którą zapłaci biedota. Rząd meksykański, w pogoni za sławą i międzynarodowym prestiżem, włożył miliony dolarów w budowę obiektów olimpijskich. Olimpiady zawsze kosztują, gdyż nie wspiera ich wielki kapitał i nie przycepiają się do nich w celach reklamowych światowe koncerty, podczas gdy zawodowy futbol zawsze jakoś na siebie zarobi, a przy okazji inni umoczą dziób.

Pobili się uczniowie dwóch szkół. Ingerowała policja. Paliki. Krew. W obronie młodszych kolegów wystąpili słuchacze Uniwersytetu i Politechniki.

walki, która trwała (od szóstej wieczorem — przyp. A.M.) do czwartej rano (...). Na miejscu znalazła się głośna dziennikarka włoska, Oriana Fallaci, ranna w czasie strzelaniny. Potem pisała: Byłam korespondentką w czasie wojny wietnamskiej, ale nigdy nie widziałam niczego podobnego. Było to przerażające, było to nie do wiary. — Nigdy nie uświadczono, ile było ofiar masakry (...). Dopiero po jakimś czasie zwołano z więzienia 755 studentów (...). Minister obrony oświadczył po wydarzeniach, że otrzymał rozkaz stłumienia „powstania” za wszelką cenę. Również minister spraw wewnętrznych, Luis Echeverria Alvarez, powoływał się na otrzymane rozkazy. Kolportowano pogłoski o zagranej prowokacji, która doprowadziła do tragedii. Podczas gdy w kołach rządowych wymieniono w związku z tym — zupełnie gołosłownie — Kube, w środowiskach lewicowych nie wykluczano ingerencji amerykańskiej centrali wywiadu CIA”.

Wszystko po to, aby storpedować meksykańską Olimpiadę, w którą, wedle ówczesnego prezydenta Gustawa Diaza Ordaza, zainwestowano już do 1 września 1968 roku 150 milionów dolarów.

Ile kosztowały Meksyk ostatecznie piłkarskie mistrzostwa świata? Z pytaniem tym udałem się do Romana E. Alatorre, Sekretarza Generalnego Komitetu Wykonawczego Mundialu Mexico 86, zakładając, że nie będę wspominał o ofiarach w ludziach. Z ofiar w ludziach można wymienić jedynie tak: sówkarza, którego zabił pijany ze szczęścia kibic. Innych ofiar w ludziach nie było.

Nawiasem mówiąc: coraz częściej ulegam wrażeniu, że nawet to wielkie, światowe dziennikarstwo jest tylko tym,

Alatorre w zakresie odpowiedzi na brutalne pytania: człowiek ten nie bał się jednak brutalnych pytań, a Polaków i tak darzył sympatią. Kiedy odwiedził Meksyk John Kennedy, pan Roman E. Alatorre pełnił funkcję szefa sali prasowej. Zaprzyjaźnił się wówczas z Jolantą Osmańczyk i Edmundem Osmańczykiem. Często z nimi współpracował.

— Zna ich pan?

— Nie — powiedziałem. — Z lektury jedynie.

— Słucham zatem. Co pana interesuje?

— Czy to prawda, że część meksykańskiego społeczeństwa nie chciała mundialu?

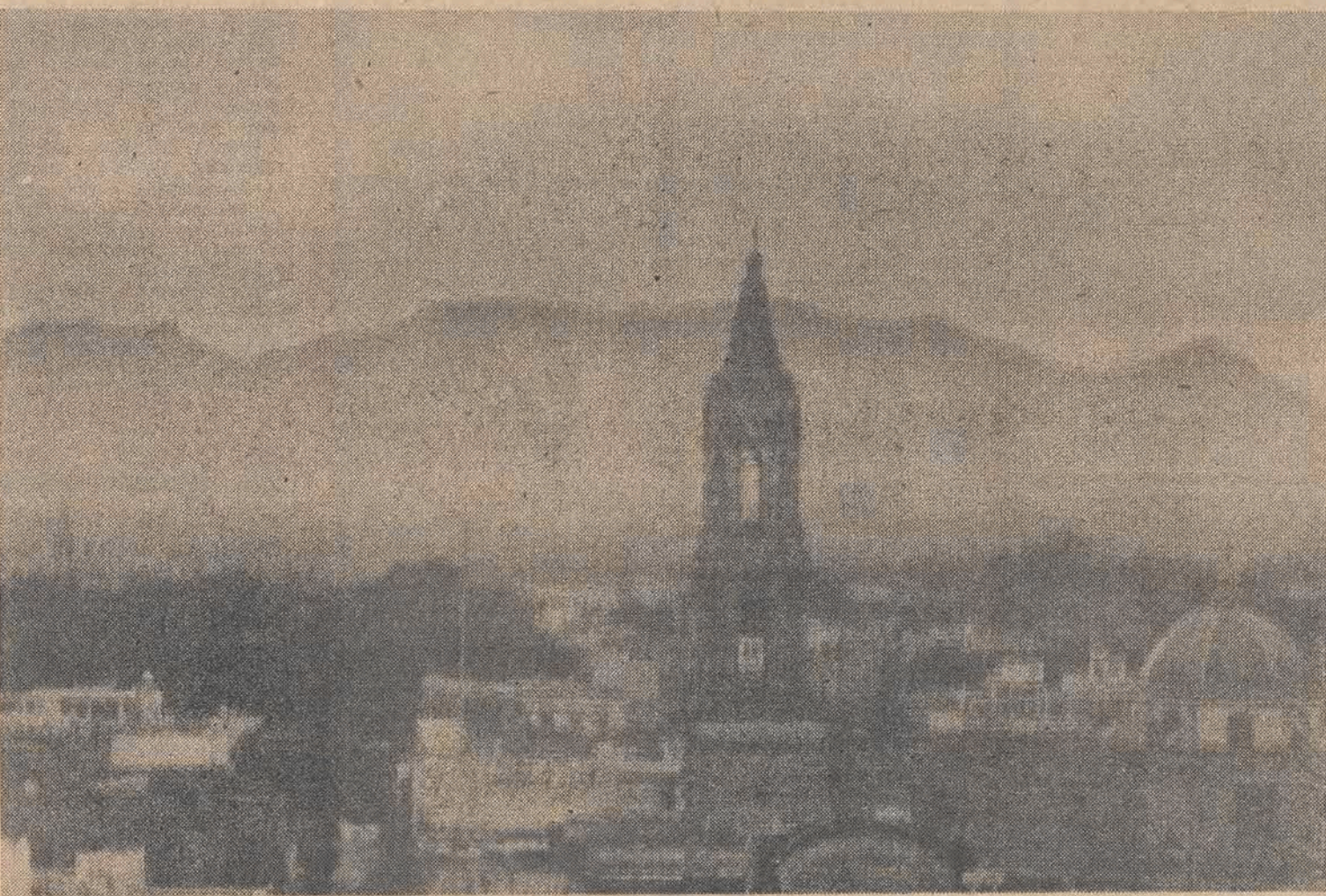
— Nim rząd meksykański przyjął propozycję FIFA i zdecydował się na tę imprezę, zapytał o zgodę naród. Ogłosił ankietę, każdy mógł powiedzieć: tak lub nie. Zdecydowała większość: powiedziała: tak! Ci, co powiedzieli: nie! wrzeszczeli i zwracali ze szczęścia, kiedy drużyna Meksyku odnosiła sukcesy.

— Jednak w europejskiej prasie krążyły opinie, że to, co Meksyk wydał na mundial, można było przeznaczyć na cele społeczne i na zapomogi dla biedaków.

— Bzdura i kłamstwo, proszę pana. Poza jedynym wypadkiem wzmocnienia ochrony policyjnej na stadionach i w mundialowych miastach, Meksyk jako państwo nie włożył w organizację mistrzostw nic, do słowne nie i kompletnie nie.

— Rząd pozostawał więc całkowicie poza mundialem?

— Nie. FIFA stawia każdemu organizatorowi tej wielkiej imprezy, w tym wypadku Meksykańskiemu Związkowi Piłki Nożnej (Federacion Mexicana de Futbol Asociacion), warunki, aby miał akceptację danego rządu w czterech podstawowych punktach. O pierwszym



Aguascalientes. Vista de la ciudad.

C.D.N.

Ambitny i dalekosiężny program gospodarczej reformy budzi odczucie zainteresowania polityków i publicystów na Wschodzie i Zachodzie. Eksperti od spraw chińskich wyrażają nawet poglądy, że współczesna chińska reforma gospodarcza jest największym eksperymentem w dziejach „Państwa Środka”. Kurs reformatorski, którego ojcem duchowym i szermierzem jest Deng Xiaoping, stanowi przedsięwzięcie na wprost rewolucyjne, chociaż w ramach wyznaczonych przez imponowalną systemu socjalistycznego. Towarzysz Deng określa obecne przemiany mianem „drugiej rewolucji” (pierwszą zapoczątkowało proklamowanie w 1949 r. Chińskiej Republiki Ludowej), której ogólnym celem jest przebudowa systemu społeczno-ekonomicznego polegająca na stworzeniu „socjalizmu o chińskich cechach charakterystycznych”.

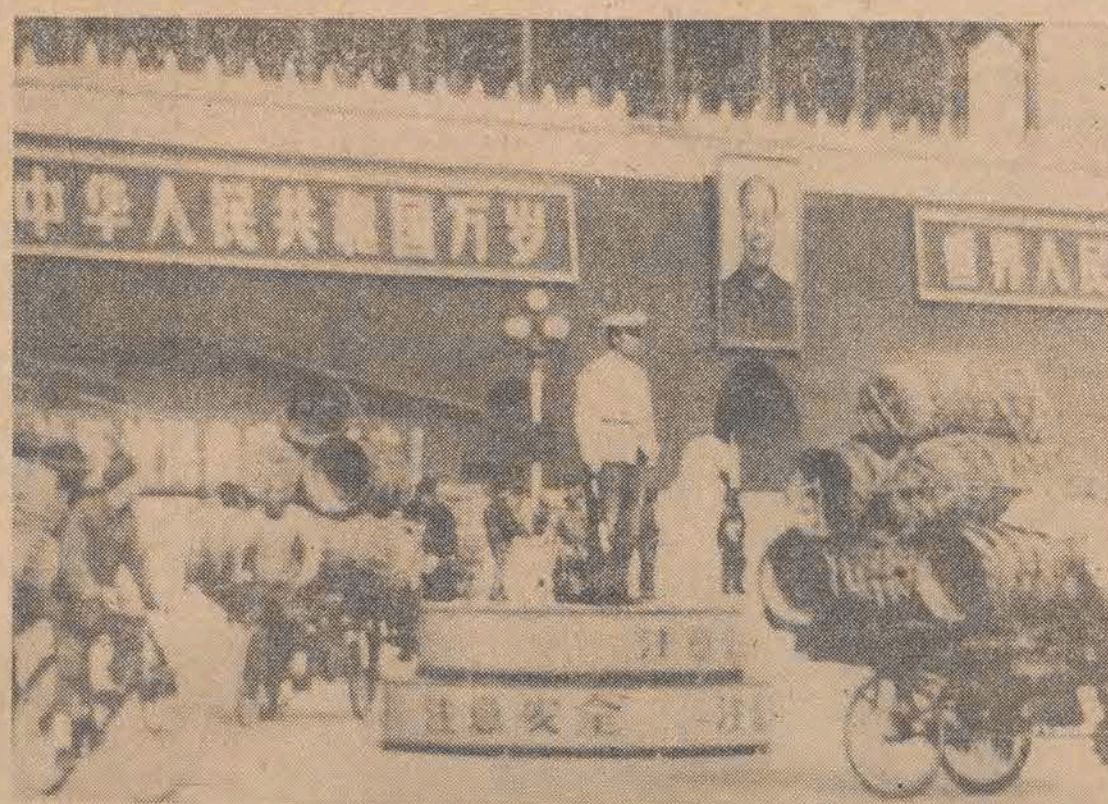
Drugą rewolucją jest podjęta na monumentalną wręcz skalę próba połączenia ze sobą pozornie niemożliwych do pogodzenia elementów: państwowej i prywatnej własności środków produkcji, centralnego planowania i mechanizmu rynkowego, politycznej hegemonii partii komunistycznej oraz ograniczonej swobody gospodarczej i kulturalnej. Zamierzenia te obliczone są na wydobycie Chin z wciąż jeszcze dużego zacofania społeczno-ekonomicznego i wprowadzenie ich do drugiej połowy XX wieku, w okresie kiedy wiek ten kończy się. W perspektywie przewiduje się zwiększenie dochodu narodowego per capita do kwoty 800 dolarów w roku 2000. Byłby to znaczny postęp w porównaniu do roku 1980, kiedy to dochód ten wynosił zaledwie 300 dolarów. O istotnych zmianach, w podejściu do problemu dobrobytu materialnego świadczy slogan propagandowy reformy głoszący konieczność zastąpienia praktyki „jedzenia z tej samej miski” praktyką „każdy je z własnej miski”. Dla wielu Chińczyków (zwłaszcza rolników) już po kilku latach działania nowych mechanizmów gospodarczych życie stało się lepsze, dostatniejsze. W czasach Mao konsumenci chińscy marzyli o nabyciu „trzech wielkich rzeczy: roweru, zegarka i maszynki do szycia”. Obecnie trzej wielkie rzeczy to lodówka, pralka i telewizor. Nie znajduje się na liście marzeń przeciętnego Chińczyka.

OD KOMUN DO DZIERŻAWY

Reformę gospodarczą w Chinach zainicjowano w 1978 roku. Nowymi zasadami gospodarowania objęto wówczas wieś i rolnictwo. Był to pierwszy etap reformy. Drugi etap, przełomowy dla procesu reformowania gospodarki, zapoczątkowała uchwała synnego III Plenum XII kadencji KC KPCh z 20 października 1984 roku. Na mocy tej uchwały zasady reformy wkręciły również na obszar gospodarki miejskiej, przede wszystkim zaś przemysłu. Uchwała potwierdziła konieczność reformowania gospodarki jako warunku sine qua non budowy „socjalizmu o chińskich obliczu” oraz zalecała radykalną zmianę struktury gospodarczej, wykorzystanie mechanizmu rynkowego w ramach centralnego planowania, racjonalizację systemu cen, wykształcenie systemu odpowiedzialności za wyniki przedsiębiorstwa, a także wzbogacenie form gospodarowania i wymiany handlowej wewnątrz kraju i z kontrahentami zagranicznymi.

Ożywym duchem reformy chińskiej jest wyzwolenie produktywności energii jednostki, co należy uznać za bardzo śmiałą koncepcję, ponieważ pojęcie indywidualizmu w społeczeństwie chińskim ma zabarwienie negatywne. Proces ten zapoczątkowano słuźnie w sektorze rolnictwa. Jest on wprawdzie wielokrotnie większy niż reszta gospodarki narodowej, ale jednocześnie o wiele mniej skomplikowany, co znacznie ułatwiało jego realizację. Proces ten zapoczątkowano słuźnie w sektorze rolnictwa. Jest on wprawdzie wielokrotnie większy niż reszta gospodarki narodowej, ale jednocześnie o wiele mniej skomplikowany, co znacznie ułatwiało jego realizację.

Należy wspomnieć, że rolnictwo chińskie zostało w okresie panowania Wielkiego Mao skolektywizowane do skrajnego stopnia. Ziemia uprawiana była przez komuny, które produkowały to, co państwo kazało i całą wyprodukowaną żywność przekazywały państwu do dystrybucji. Placa oparta była na systemie „punktów roboczych”, które nie miały bliższego związku z produkcją; rolnik groma-



Reforma po chińsku

Każdy je z własnej miski

WITOLD KASPERKIEWICZ

dział na przykład pewną liczbę punktów za sadzenie ryżu, ale nie uzyskiwał żadnych dodatkowych korzyści, jeśli zbiory okazały się wyższe niż zakładano. Reforma zlikwidowała komuny i zastąpiła je systemem kontraktowym. Wprawdzie cała ziemia nadal należy do państwa, ale wydzielając ono działki, przeważnie poszczególne rodzinom. Renta dzierżawczą spłaca się przez dostarczenie państwu ustalonej ilości ryżu, pszenicy itp. po sztywnej cenie. Po spełnieniu tego obowiązku rodziny mogą uprawiać co im się tylko spodoba i sprzedawać plody rolne na wolnym rynku za taką cenę, jaką zdołają uzyskać (państwo ustala jednak górną granicę niektórych cen).

Zdecydowana większość pierwszych umów dzierżawnych opiewała na dwa lub trzy lata, ale są one obecnie przedłużane, zazwyczaj do 15 lat, przy czym jeśli chodzi o pastwiska, to nawet i do 30 lat. Na mocy ustawy z 1985 r. dzierżawę można dziedziczyć. Chłopi mają własne zwierzęta pociągowe, zaś ci, którym się dobrze powodzi, mogą kupować maszyny rolnicze. W ciągu ostatnich dwóch lat (1984-1985) ilość traktorów w prywatnym władaniu wzrosła od 90 tys. do 280 tys.

Choć państwo zachowuje prawo do unieważnienia umowy dzierżawnej, zawartej z daną rodziną i przekazania ziemi komuś innemu, z prawa tego rzadko czyni się użytek. Rodziny chłopskie w coraz większym stopniu uważają ziemię za swoją i użytkują ją w taki sposób, jak gdyby były jej formalnymi właścicielami. Chłopi coraz częściej zwracają się do państwa z prośbą o wydanie im tytułu własności, a nawet z chęcią, by budowali na należących do państwa ziemi domy stanowiące własność prywatną.

Wielkie drogi w całych Chinach zostały zwołone, gdyż na ich poboczu nagromadzone stopyce cegieł, z których chłopi budują sobie domy. W porównaniu do czasów Mao, kiedy to od wielu chłopów wymagano, by mieszkali we wspólnych pomieszczeniach i jadali w należących do komun stołówkach, sama tylko zmiana stylu życia jest niemal rewolucyjna.

Rezultaty reformy w gospodarce rolnej są bardzo zachęcające. Chłopi chińscy, którym pozwolono prosperować dzięki wyłączonej pracy, co roku, poczynając od 1978 roku, zwiększali produkcję żywności o około 8 proc., czyli 2,5-krotnie więcej niż wynosił roczny przyrost w poprzednich 26 latach. Wraz z ilością zwiększyła się też różnorodność produktów. Oprócz ryżu i pszenicy Chińczycy hodują i jedzą więcej drobiu i wieprzowiny. Największym jednak sukcesem jest to, że obecna dieta dostarcza przeciętnie dość energii i protein dla normalnego rozwoju organizmu człowieka. W kraju, któ-

ry przez cztery tysiące lat zapisała się historią głodów, przeciętny obywatel ma wreszcie dostateczną ilość produktów żywnościowych.

MNIEJ NAKAZÓW WIĘCEJ INICJATYWY

Istotne znaczenie dla reformy miejskiej, w tym przede wszystkim w dziedzinie przemysłu, miała decyzja rządu o wstrzymaniu w 1979 r. realizacji planu pięcioletniego, kładącego nacisk na przemysł ciężki (głównie hutnictwo). Po zrewidowaniu tego planu skierowano duże nakłady inwestycyjne na produkcję towarów konsumpcyjnych, takich jak lodówki, pralki, telewizory. Stopniowo łagodzone były niektóre formy kontroli i dyktowania przedsiębiorstwami. W 1982 r. rząd zaprzestał dyktowania stylów mody odzieżowej i pozwolił fabrykom w Pekinie na korzystanie z własnego wóznictwa. Wpłynęło to pozytywnie na scenariusz ulicy, która stała się kolorowa, a kiedyś była zdumiewająca przez workowate ubrania w stylu Mao.

Zgodnie z programem drugiego etapu reformy gospodarczej, który rozpoczął się pod koniec 1984 r., nastąpiły ważne zmiany w systemie centralnego planowania i zasadach funkcjonowania przedsiębiorstw. Centralny planista nadal ustala ogólny kierunek produkcji, ale bezpośrednio rozdziela tylko część surowców i część wyrobów gotowych po sztywnych cenach. Dyrektorom przedsiębiorstw pozwala się, a nawet wymaga się od nich, by poszukiwali własnych dostawców i odbiorców, by sami decydowali o tym, co produkować, z wyjątkiem towarów, które muszą być ośpędzane państwu. Stanowi to dla przedsiębiorstw znaczącą nadwyżkę finansową do instytucji nadrzędnej. Na początku nowego roku przydzielano mu ponownie pewną sumę pieniędzy na prowadzenie działalności gospodarczej. Obecnie przedsiębiorstwa płać podatek dochodowy w wysokości 55 proc. zysku i zatrzymują resztę na cele inwestycyjne, na premie i świadczenia socjalne, takie jak budownictwo mieszkaniowe, opieka zdrowotna i wypoczynek. Większość środków finansowych na przedsięwzięcia inwestycyjne nadal dostarczają banki. Rząd chiński zastrzył warunki udzielania kredytów. Przedsiębiorstwa muszą rywalizować ze sobą o kredyty i płać o procentowanie w wysokości 5 proc., podczas gdy jeszcze pod koniec lat 70-tych wynosiło ono 1 proc.

Celem, do którego dążą chińscy reformatorzy jest zastąpienie administracyjnego planowania, czyli systemu opartego na bezpośrednich nakazach, dyktujących przedsiębiorstwom, co i ile produkować, przez elastyczniejszy system tzw. kierunkowego planowania, co w praktyce oznacza dopuszczenie mechanizmu rynkowego do wyznaczania procesów efektywnościowych. Huan Xiang, dyrektor Ośrodka Studiów Międzynarodowych w Pekinie, twierdzi, że dotychczasowe centralne planowanie „poważnie hamowało inicjatywę i twórczość przedsiębiorstw oraz robotników i w znacznym stopniu wykastrowało gospodarkę. Im bardziej scentralizowana gospodarka, tym jest sztywniejsza, im jest ona sztywniejsza, tym lewiusi są ludzie, im lewiusi są ludzie, tym są ubożsi”.

Od dyrektorów przedsiębiorstw oczekuje się obecnie, że reagować będą elastycznie na zmiany podstawowych kategorii rynkowych, takich jak stopa procentowa, ceny, zysk, popyt. I tak jak państwo nie będzie już dłużej zabierać całego zysku przedsiębiorstwa, tak też w końcu zaprzestanie subwencjonowania strat. Zwolennicy konsekwentnej reformy stwierdzają, że wreszcie, że gotowi są do wprowadzenia zasady upadłości deficytowych przedsiębiorstw państwowych. Przyszłość pokaże, czy owa deklaracja przekształci się w konkretne działania egzekwujące upadłość przedsiębiorstw. Dotychczas ogłoszono upadłość jednego przemysłowego przedsiębiorstwa państwowego (na ogólną liczbę 85 tys. przedsiębiorstw przemysłowych). Fakt ten nakazuje przyjęcie sceptycznej postawy wobec tej deklaracji, tym bardziej, że upadłość przedsiębiorstwa nie stanowi celu per se.

Warto podkreślić, że zakres działania mechanizmu rynkowego w gospodarce chińskiej jest nadal ograniczony. Mechanizm rynkowy ma większe zastosowanie w produkcji środków konsumpcyjnych niż dóbr inwestycyjnych i zaopatrzeniowych. W tej drugiej sferze dominują regulatory administracyjne. Politykę cen cechuje dwutorowość — istnieją ceny państwowe i ceny rynkowe. Państwo ustala ceny na większość środków produkcji. Wyjątkiem jest węgiel wydobywany w zespołach gospodarczych działających przy rolniczych spółdzielniach produkcyjnych. Jest to wydobycie odkrywkowe, szczególnie ważne w sytuacji słabego rozwoju transportu w Chinach. Rozmiary tego wydobycia ocenia się na 150 mln ton rocznie (prawie 20 proc. globalnej produkcji).

Ważną rolę odgrywa natomiast mechanizm rynkowy w rozwoju rzemiosła, drobnej wytwórczości i gastronomii. W dziedzinach tych obowiązują w zasadzie ceny rynkowe. Władze chińskie śmiało dopuszczają do tych dziedzin prywatnych przedsiębiorców, co notabene

budzi poważne zastrzeżenia tzw. konwencjonalnych marksistów chińskich, którym — przewodzi członek Biura Politycznego KPCh Chen Yun.

Prywatna przedsiębiorczość zrodziła się w głównej mierze jako skutek reformy w rolnictwie. Otróż, przy wszystkich swych wadach, maostowskie komuny ludowe gwarantowały każdemu mieszkańcowi wsł jakiego zatrudnienie. Deng Xiaoping i jego współpracownicy obawiali się, że rozbiście komun może spowodować migrację bezrobotnych do miast, gdzie również mogłoby zabraknąć dla nich pracy. Aby uniknąć tych perturbacji pozwolono indywidualnym chłopom i kolektywom wiejskim na podejmowanie zajęć w dziedzinie drobnej wytwórczości, rzemiosła, handlu itp. Chociaż przedsiębiorstwa prywatne, a także spółdzielcze szybko się mnożą, nie dysponują one jednak znaczną siłą. Według danych z 1985 roku w Chinach zarejestrowanych jest 10,6 mln przedsiębiorstw prywatnych, których obroty wyniosły 8 mln dol., i które zatrudniały 15 mln pracowników, czyli 4,5 proc. nierolniczej siły roboczej. Około 1,7 mln spółdzielni zatrudniało 100 mln pracowników i w niektórych prowincjach stały się one dominującą formą przedsiębiorczości. Jednak w skali ogólnokrajowej zdecydowanej większości miejsc pracy i czterech piątych produkcji przemysłowej dostarczają przedsiębiorstwa państwowe w liczbie przeszło 85.000.

POLITYKA OTWARTYCH DRZWI

W Chinach od wieków toczył się spór między zwolennikami uczenia się od nowoczesnego świata zewnętrznego a przeciwnikami tego stanowiska. Mao stanął w pełni po stronie ksenofobii i odcinął Chiny niemal całkowicie od zagranicznych towarów, pieniędzy i kultury. Natomiast Deng Xiaoping proklamował „politykę otwartych drzwi” w stosunku do zagranicznych towarów i inwestycji, nie przejmując się tym, że posunięcie to wzbudza skrajne zarzuty z epoki na początku tego stulecia, kiedy to cudzoziemcy korzystali z przywilejów eksterminacji. Gwoli ścisłości trzeba zaznaczyć, iż drzwi te nie są jeszcze aż tak dalece otwarte, politykę chińską można by lepiej określić jako szczelną komorę, przez którą wpuszcza się starannie wyselekcjonowane inwestycje zagraniczne. Mimo to jednak do końca 1984 r. przeszło 2000 firm zagranicznych zainwestowało swoje kapitały w Chinach. Większość z nich jest własnością zamieszkałych za granicą Chińczyków, którzy dorobili się na terenie całej Azji, ale w tej liczbie jest także 70 firm z USA, 67 z Japonii oraz 42 z W. Brytanii, RFN i Francji. Rozwija się także tendencja do zakładania wspólnych przedsięwzięć, będących własnością chińskich przedsiębiorstw państwowych i firm zagranicznych. W okresie pierwszej połowy 1985 r. zarejestrowano 687 takich przedsięwzięć, czyli niemal tyle, ile w całym roku 1984. Rząd zezwolił również na budowę 94 fabryk należących całkowicie do cudzoziemców. Szacuje się, że zagraniczne inwestycje kapitałowe w Chinach wynoszą około 10 mld dol.

Zasadniczą przesłanką polityki otwartych drzwi jest chęć przyspieszenia modernizacji gospodarki chińskiej drogą przyciągania zagranicznego kapitału, techniki i metod zarządzania. W tym celu rząd utworzył cztery specjalne strefy gospodarcze oraz czternaście otwartych portów (plus wyspa Hainan), w których inwestorzy zagraniczni uzyskują niezwykle przywileje w dziedzinie podatków, importu surowców i angażowania pracowników. Urządzenia produkcyjne i materiały budowlane wykorzystywane dla inwestycji zagranicznych zwolnione są od ceł oraz podatku przemysłowego i handlowego. To samo dotyczy surowców, części zamiennych i opakowań sprowadzonych do produkcji wyrobów eksportowanych. Część produktów wytwarzanych w strefach specjalnych może być sprzedawana na rynku krajowym. Opodatkowaniu podlegają te produkty, które zostały wytworzone z surowców sprowadzanych bez cła. Podatek dochodowy za projekty technologiczne i know-how o wartości powyżej 30 mld dol. może być — za zgodą ministerstwa finansów — zmniejszony o 15 proc.

Wszelkie projekty inwestycyjne realizowane w strefach specjalnych muszą pod względem technologicznym stać na wysokim poziomie. Władze miejskie, na terenie których znajdują się owe strefy same oceniają i zatwierdzają projekty inwestycyjne, które mają być realizowane za pomocą kapitału zagranicznego. Mają one ponadto prawo ustalania, jakie urządzenia muszą być sprowadzone do realizacji tych projektów, prawo wysyłania grup na szkolenie za granicę i przeprowadzania pertraktacji z zagranicznymi przedsiębiorcami.

Byłoby naiwnością oczekiwać, że obcy kapitał stanie się cudownym lekiem na uwolnienie gospodarki Chin. Dotychczasowe doświadczenie dowodzi, że strefy specjalne i otwarte porty nie gwarantują pożądanego importu najnowszej technologii, a inwestycje bezpośrednie najchętniej płyną do przedsięwzięć najbardziej rentownych, o krótkim czasie zwrotu (np. hotele, restauracje) oraz do dziedzin produkcji kooperacyjnej, umożliwiającej wejście na nienasycony rynek chiński, zamiast do przedsięwzięć sprzyjających produkcji wyrobów gotowych, zdolnych do zdobycia rynków zagranicznych. Przedsiębiorstwa obce i spółki, mimo kontroli księgowych chińskich, naruszają często reguły gry, dokonując nielegalnego transferu zysków, w drodze podnoszenia cen importu i obniżania cen eksportu elementów kooperacyjnych. Nieprawidłowości w funkcjonowaniu zagranicznych firm wywoływały reakcje ze strony konwencjonalnych marksistów, którzy nawołują do „oparcia drugiej nogi na gospodarce krajowej socjalistycznej”. Nie powinno to jednak spowodować rezygnacji chińskich reformatorów z dalszych prób unowocześniania gospodarki.

Deng Xiaoping uważa, iż takie nowatorskie projekty, jak specjalne strefy gospodarcze muszą jeszcze wykazać swą wartość. Jest on nadal wierny polityce przyciągania zagranicznych kapitałów. W październiku 1985 r. powiedział: „Są tacy, którzy twierdzą, że nie powinniśmy otwierać naszych okien, ponieważ przez otwarte okna uleciają muchy i inne owady. Chcieliśmy, aby okna były zamknięte tak, abyśmy się wszyscy udusili z braku powietrza. Ale my mówimy: „Otwórzcie okna, oddychajcie świeżym powietrzem, a jednocześnie — walczcie z muchami i owadami”.

ZAGROŻENIA REFORMY

Reforma chińska napotyka o-czywiście przeszkody natury obiektywnej i psychologicznej, a dodatkowo — i jest to nieuniknione — rodzi nowe problemy. Należy do nich np. dalsze rozprzestrzenianie się i wzrost różnicowania dochodów, które to zjawisko nie ogranicza się tylko do specjalnych stref gospodarczych i portów otwartych. Istotnym problemem jest także przestawienie centralnej biurokracji z planowania nakazowego na planowanie o charakterze koncepcyjno-strategicznym.

W najbliższej przyszłości najtrudniej będzie o zachowanie względnej stabilności cen. Już dzisiaj stopa inflacji jest prawdopodobnie znacznie większa od podawanego oficjalnie wskaźnika 15-16 proc. rocznie. Różnicowanie dochodów oraz dążenie do cen równowagi rynkowej musi nasilać tendencję inflacyjną. Wydaje się, że promotorzy reformy zdają sobie sprawę z niebezpiecznych skutków inflacji, lecz przesuwać ją dalej przyspieszają. Na podejściu do problemu inflacji ciąży wieloletnie funkcjonowanie gospodarki w warunkach stabilnych cen i relacji cenowych. Postępująca inflacja próbuje się zahamować przez administracyjną blokadę cen i apele do kierownictwa przedsiębiorstw o właściwą politykę cen.

Wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, by reforma chińska dała szybko znaczne efekty. Sukces reformy gospodarczej, jak sądzą specjaliści, stanie się dostroczalnym nie wcześniej niż za dziesięć lat. Jeśli jednak do tego czasu odczuwalny stanie się zadowalający wzrost standardu życia miliardowego narodu, to ów początkowy sukces może wystarczyć do zapobieżenia nawrotowi biurokratycznego woluntaryzmu i zapewnienia legitymacji reformatorskiemu kierownictwu partyjnemu.

— Nie obawiaj się niczego, ojczu, zdrajcy zawsze są tchórzami, zwycięstwo nie będzie trudne... Ach! niewiele brakowało, bym go przejrzała!... Ten układ... żądam go... mam pewne prawa przed tobą, ojczu, daj mi je me nieszczęście; nie odmawiaj mi, o jaką błagam... Proszę o to u twych stóp.

— Zgadzasz się, skoro tego pragniesz — mówi pułkownik podnosząc córkę — a co skłania mnie do ustąpienia twym pragnieniom, to pewność, że dzięki temu powiększymy, jak powiedziałas, liczbę wrogów tego, który nas hańbi.

Ernestyna całuje ojca i pędzi natychmiast do krewnego; wraca chwilę później.

— Sindensen jest gotów, ojczu — mówi do pułkownika — ale z powodu ciotki, prosi cię usilnie, byś nic nie mówił; krewniak jest niepokojony, jakiejś mi udzielił, bym poszła do hrabiego; uczyniła to w dobrej wierze; Sindensen jest zatem zdania, by ukryć wszystko przed panią Plorman, on sam będzie cię unikał aż do zakończenia sprawy; postępuj tak samo.

— Dobrze — mówi pułkownik — niech pędzi pomścić nas... będę go śledził z bliska.

Wszystko się uspokaja... Ernestyna kładzie się spać pozornie spokojna, a nazajutrz, o wczesnej godzinie, hrabia Oxtiern otrzymuje list pisany nieznaną ręką, w którym znajdują się jedynie te słowa:

Okropnej zbrodni nie popełnia się bezkarnie; okropnej niesprawiedliwości nie dokonuje się bez zemsty; uczciwej dziewczyny nie hańbi się nie płacąc za to życiem uwodziciela albo tego, kto ma obowiązek ją pomścić. Dziś wieczór o godzinie dziesiątej, oficer ubrany w czerwien, ze szpadą u boku, będzie się przechadzał w pobliżu portu, ma on nadzieję spotkać cię tam; jeśli nie przybędziesz, ten sam oficer, nazajutrz, strzeli ci w łeb.

Lokaj bez libelii przynosi list, i, jako że miał przykazane wrócić z odpowiedzią, oddaje ten sam bilet z dopisanymi poniżej dwoma słowami: Będę tam.

Ale perfidny Oxtiern był na tyle ciekaw, co, od powrotu Ernestyny, działo się u pani Plorman, iż użył wszelkich środków, które mogłyby go o tym poinformować; dowiaduje się kim powinien być oficer ubrany w czerwień; wie także, że pułkownik nakazał w zaufaniu swemu lokajowi, by przygotował uniform angielski, ponieważ chce się przebrać, aby śledzić tego, kto ma pomścić jego córkę, i, nie zostając rozpoznany przez mściciela, wziąć go w obronę, jeśli przypadkiem zostanie on pokonany; nie więcej nie trzeba było Oxtiernowi, aby przygotować nowy gmach okropności.

Przyszła noc była wyjątkowo ciemna, Ernestyna zawiadomiła ojca, że Sindensen wyjdzie za godzinę, sama zaś oświadczyła, że z powodu przynęcenia, w jakim się znajduje, rezygnuje z towarzyszenia mu; pułkownik, zadowolony, że może być sam, mówi córce dobranoc, i przygotowuje się, by podążyć za tym, kto miał bić się za nią; wychodzi nie mówiąc, aby, jak żądał młody człowiek nie zdradzić tajemnicy i nie budzić podejrzeń córki. Nie wie jednak, jak będzie ubrany Sindensen. Nie przeszkadza mu to jednak, spieszy się, zna miejsce walki, jest pewny, że spotka tam kuzyna. Przybywa na wyznaczone miejsce, nikt się jeszcze nie zjawia, przechadza się; w tym momencie zbliża się jakiś nieznajomy, bez broni, zdejmując kapełusz.

— Panie — mówi doń ów człowiek — czy nie jesteś pułkownikiem Sandersem?

— Jestem nim.

— Przygotuj się zatem, Sindensen cię zdradził, nie będzie wcale walczył z hrabią; ale ten ostatni podąży za mną, i z tobą jedynie będzie miał sprawę.

— Boże, bądź pochwalony — mówi pułkownik z okrzykiem radości — to wszystko, czego pragnę na świecie.

— Ani słowa, panie, bardzo proszę — podejmuje nieznajomy — to miejsce jest niebezpieczne; senator ma wielu przyłajców, mogliby nadbiec, by was rozdzielić... On nie chce tego, chce ci dać całkowitą satysfakcję... Nie mówiąc zatem ani słowa zaatakuj żywo oficera ubranego w czerwień, który zbliżył się do ciebie z tej strony.

— Dobrze — mówi pułkownik — oddał się spieszenie, płoń, by dobiec szpady...

Nieznajomy się oddala, Sanders robi jeszcze dwa zwroty, dostrzega w końcu pośród ciemności zbliżającego się szybko mu niemu oficera ubranego w czerwień; nie wąpi, że jest to Oxtiern bierze w dłoń szpadę i nie odzywa się z obawy, by ich nie rozdzielono; żołnierz broni się z niewiarygodną odwagą nie wymawiając ani słowa; ustępuje jednak w końcu przed silnymi atakami pułkownika i pada nieszczęsnym, umierając w ryk: w tej samej chwili rozlega się krzyk kobiety, który przeszywa duszę Sandersa... ten zbliża się... dostrzega rysy całkiem różne od rysów człowieka, z którym sądził, że walczył... Boże!... poznaje swą córkę... to ona, to odważna Ernestyna, która chciała zginąć albo pomścić siebie samą, i która, już zalana krwią, umiera z ręki własnego ojca.

— Okropny to dla mnie dzień! — wykrzykuje pułkownik... — Ernestyno, to ciebie złożyłem w ofierze! Cóż za pomyłka!... czyja to sprawa?...

— Ojczu — mówi Ernestyna słabym głosem — wybacz mi, ojczu, ośmieliłam się walczyć z tobą... Czy zechcesz mi przebaczyć?

— Wielki Boże! to przecież moja ręka pograża cię w grobie! Najdroższa, iluz zatrutymi strzałami naraz Bóg chce nas przytłoczyć!

— Wszystko to jest dziełem perfidnego Oxtierna... Podszedł do mnie jakiś nieznajomy, po-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ernestyna

Nowela szwedzka (6)

D. A. F. DE SADE

wiedział mi w imieniu tego potwora, bym rozglądała się w największym milczeniu, w obawie, by nas nie rozdzielono, i bym zaatakowała tego, kto będzie ubrany tak jak ty, gdyż hrabia. Uwierzyłam mu, co za okropna perfidia!... Umieram... ale przynajmniej umieram w twych ramionach. Najśrodszy to rodzaj śmierci spośród tych, jakie mogły mnie spotkać wobec całego zła, które na mnie spadło; pocałuj mnie, ojczu, i przyjmij pożegnanie od twej nieszczęsnego Ernestyny.

Na te słowa umiera nieszczęsną; Sanders tonie we łzach... ale zemsta usmierza ból. Opuścił krwawego trupa, aby dochodzić swych praw... umrzeć... albo zgubić Oxtierna... Lecz musi uciec się do sądziwi; „nie powinien już... nie może już narażać się, by walczyć z tym zbrodniarzem, który niewątpliwie zamordowałby go raczej niż się z nim zmierzył; pułkownik, zbрызany jeszcze krwią córki, pada do stóp urzędników sądowych, naświetla im okrutny łańcuch nieszczęść, odsłania nikczemność hrabiego... podburza ich, stara się zainteresować, a szczególnie nie zapomina pokazać im jak bardzo, w osadzie Hermana, zawiodły ich podstępny zdrajcy, którego oskarża... Obiecują mu, że zostanie pomszczony.

Senator, mimo całego zaufania, jakim się cieszył, zostaje zatrzymany tej samej nocy. Czując się pewny efektu swych zbrodni albo też będąc źle poinformowany przez szpiegów, odпочywał ze spokojem; znajdują go w ramionach pani Scholtz, oba potwory gratulowały sobie wzajem strasznego sposobu, w jaki sądziły, że dokonały zemsty; oboje zostają odprawieni do więzienia sądowego. Proces wszczęto z największą surowością... zasiada na nim całe zgromadzenie... oboje obwinieni płaczą się w zeznaniach... sami na siebie milcząco wydają wyrok... Pamięć Hermana została zrehabilitowana; pani Scholtz, za okropność jej zbrodni, przyszło zapłacić na tym samym szafocie, na którym, za jej sprawą, stracono niewinnego.

Senator został skazany na tę samą karę, ale król złagodził jego losy na dożywotnie zesłanie do kopalni.

Gustaw zaofiarował pułkownikowi sześć tysięcy dukatów pensji z majątku winowajców, i stopień generała na swej służbie, ale Sanders niczego nie przyjął.

— Sire — mówi do monarchy — jesteś nazbyt dobry; jeśli to z racji moich służb raczyłeś zaofiarować mi te względy, są one nazbyt duże, wcale na nie nie zasłużyłem...; jeśli po to, by wyrównać stratę, jakąś doznałem, nie wystarczy. Sire, blizn duszy nie uleczy się ani złotem, ani zaszczycami... Proszę Waszą Wysokość, byś pozostawił nieco czasu mej rozpacz; niebawem poproszę o jedyną łaskę, która mogłaby mi odpowiadać.

— Oto, panie — przerwał Falkenheim — opowiedz, o którą prosisz; przykro mi, iż mam obowiązek ujrzeć raz jeszcze Oxtierna, obudzi to w tobie wstręt.

— Nikt, panie — odpowiedziałem — nie jest bardziej pobłażliwy niż ja wobec wszelkich błędów, do jakich skłania nas nasza konstytucja fizyczna; widzę złoćników pośród ludzi uczciwych jako nieprawidłowości, z którymi natura miesza zdobiące świat piękno. Ale pański Oxtiern, a szczególnie pani Scholtz, nadużyli praw, które człowiek, w jego słabości, winien otrzymać od filozofów. Nie można posunąć zbrodni dalej; w zachowaniu obojga są okoliczności, które przejmują dreszczem. Uwiesić tę nieszczęsną, poświęcając jednocześnie jej ukochanego... a potem spowodować zabicie jej przez ojca, to wyrafinowane okropności, które wywołują żal, że jest się człowiekiem, gdy ma się nieszczęście podzielać to miano z równie wielkimi zbrodniarzami.

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, gdy pojawił się Oxtiern niosąc list; wystarczył mu tylko rzut oka na moją twarz, by zorientować się, że zostałem poinformowany o jego przygodach... Spojrzał na mnie.

— Panie — mówi do mnie po francusku — ulituj się nade mną; ogromne bogactwa... wspaniałe nazwisko... zaufanie, oto syreny, które sprowadziły mnie z właściwej drogi; nauczony

nieszczęściem, poznałem jednak zbrodnię, i mógłbym teraz żyć z ludźmi nie szkodząc im ani nie przerażając.

Nieszczęsną hrabia uronił przy tych słowach kilka łez; nie mogłem podzielać jego smutku; mój przewodnik wziął list, obiecał oddać i zaczęliśmy przygotowania do wyjazdu, gdy ujrzelśmy wypełniający ulicę tłum, który zbliżał się do miejsca, w którym się znajdowaliśmy... Zatrzymaliśmy się; Oxtiern był jeszcze wraz z nami; powoli rozróżniliśmy dwóch ludzi, którzy mówili z zapalem, i którzy, jak dostrzegliśmy, skierowali się wnet w naszą stronę; Oxtiern rozpoznał te dwie osoby.

— O Boże — wykrzyknął — co to za... pułkownik Sanders prowadzony przez ministra wojny!... Tak, to zbliża się nasz pasterz wiodący ku nam pułkownika... To mnie dotyczy, panowie... No cóż! ten nieprzejednany wróg przychodzi więc szukać mnie aż w łonie ziemi!... Nie zadowala go więc jeszcze ma okrutna kara!...

Oxtiern nie skończył jeszcze, gdy zbliżył się pułkownik.

— Jesteś wolny — mówił, gdy znalazł się obok — a łaskę tę zawdzięczasz człowiekowi najbardziej obrażonemu przez ciebie... oto, senatorze, przynoszę ci wolność; król ofiarował mi rangi, zaszczyty, wszystko odrzuciłem, pragnąc tylko twej wolności... otrzymałem ją, możesz iść ze mną.

— O! wspaniałomyślny człowieku — wykrzyknął Oxtiern — czy to możliwe?... Ja wolny... i to wolny dzięki tobie?... dzięki tobie, który, odbierając mi życie, nie ukarałeś mnie jak na to zasłużyłem?

— Wiedziałem, że będziesz tak sądził — mówi pułkownik — oto dlaczego pomyślałem, że nie będzie żadnego ryzyka zwrócić ci dobro, którego nie można bardziej nadużyć niż to uczyniłeś... Czyż zresztą wyrządzone przez ciebie zło można naprawić moim? czyż mogę być szczęśliwy ciesząc się twym bólem? czyż uwieszenie ciebie zmyje krew rozlaną przez twe barbarzyństwo? Byłbym równie okrutny jak ty... równie niesprawiedliwy, jeśli bym tak myślał; czyż uwieszenie człowieka wynagrodzi społeczeństwu zło, jakie mu wyrządził?... Należy uczynić go wolnym, jeśli chce się, by je naprawił, i także w tym przypadku każdy by tak uczynił, gdyż każdy przedkłada dobro nad obowiązek życia w kajdanach; to, co u niektórych narodów może wymyślić despotyzm albo surowość praw, u innych serce uczciwego człowieka potępia... Ruszaj, hrabio, ruszaj, powtarzam ci, jesteś wolny...

Oxtiern chce rzucić się w ramiona swego dobroczyńcy.

— Panie — mówi zimno Sanders powstrzymując go — twa wdzięczność jest niepotrzebna; i nie chcę być mi wdzięczny za rzecz, w której siebie tylko mam na względzie... Opuśćmy zaraz to miejsce, bardziej mi spieszą niż tobie ujrzeć cię na zewnątrz, aby wszystko ci wyjaśnić.

Sanders, który widział nas z Oxtiernem, dowiedziawszy się kim jesteśmy, poprosił byśmy wyszli wraz z hrabią; zgodziliśmy się; Oxtiern dopełnił wraz z pułkownikiem kilku formalności koniecznych dla zwolnienia; wszystkim nam zwrócono broń i wyjechaliśmy na powierzchnię.

— Panowie — mówi do nas Sanders, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz — bądźcie łaskawi być świadkami tego, co zostało mi jeszcze do zakomunikowania hrabiemu Oxtiernowi; widzieliście, że nie powiedziałem mu wszystkiego w kopalni, było tam zbyt wielu widzów...

A jako, że szliśmy cały czas, znaleźliśmy się wkrótce przy ogrodzeniu, które zasłaniało nas przed oczami wszystkich; wówczas pułkownik chwytając hrabiego za koltierz:

— Senatorze — mówi doń... — chodź teraz o to, byś mi oddał sprawiedliwość, mam nadzieję, że jesteś dość odważny, by mi nie odmówić i że masz dostatecznie dobrze w głowie, by dać się przekonać, że najsłabszym motywem, który skłonił mnie do uczynienia tego, co zrobiłem, była nadzieja podciąć sobie gardło wraz z tobą.

Falkenheim chciał służyć jako mediator i rozdzielić obu przeciwników.

— Panie — mówi doń sucho pułkownik — znasz złewagi, jakie wyrządził mi ten człowiek; dusza mej zmarłej córki żąda krwi, tylko jeden z nas może pozostać na placu; Gustaw jest poinformowany, zna mój plan; pozwalając mi uwolnić tego nieszczęsnika, wcale mego zamiaru nie zganił; pozwól nam zatem działać, panie.

I pułkownik, rzucając frak, wziął natychmiast do ręki szpadę... Oxtiern również ją schwytył, ale zaledwie przyjął gardę, gdy, biorąc szpadę za ostrze, i chwytając lewą ręką ostrze szpady pułkownika, podaje mu ręką swoją broni i, zginając kolano do ziemi:

— Panowie — mówi spoglądając na nas — biorę was obu na świadków, chcę byście wiedzieli, że nie zasługuję na honor walki z tym uczciwym człowiekiem, ale oddaję mu me życie i błagam, by mi je odebrał... Weź mą szpadę, pułkowniku, weź, oddaję ci ją. Oto me serce, wbił w nie klingę, sam to uczyniłem kierując pchnięciem; nie wahaj się, żądam tego. Uwolnij natychmiast ziemię od potwora, który zbyt długo ją plamił.

Przekład:
BOGDAN BANASIAK

C.D.N.

Rzeka podzieliła los ogromnej większości rzek polskich — zdlawiła ją cywilizacja. Rawa jest najdłuższym (95 km) prawobrzeżnym dopływem Bzury. Wypływa spod Kolaszek i płynie początkowo w kierunku wschodnim, aby w Rawie Mazowieckiej skręcić na północ.

W materiałach z 47 Zjazdu Polskiego Towarzystwa Botanicznego (3—6 września 1986) czytamy:

„Najbardziej naturalny fragment doliny Rawki znajduje się w obrębie Puszczy Bolimowskiej. Dolina jest tu połączona z rozległym kompleksem leśnym, wykazuje duże zróżnicowanie szaty roślinnej; rzeka toczy czyste wody w silnie meandrującym korycie”.

Ala to już nie jest prawda, albowiem woda w Rawce jest po prostu brudna!

Mijały lata. Przystawiały się kolejno kłębiły turbiny miłnowe wodnych. Wyginęły małe i żerujące na podwodnych kamieniach ślimaki. Pospolita niedgdyś płołka stała się rzadkością. Piaszczyste i dostępne w większości brzegi zamulili się. Zmieniła się roślinność. Tak właśnie wygląda umieranie rzeki, nad którą nie ma wielkiego przemysłu, a którą niespiesznie i jak gdyby mimochodem, dlawi to, co my najczęściej nazywamy jeszcze rozwojem cywilizacji.

I właśnie to powolne umieranie, powolne z przyczyny tak naturalnej żywotności rzeki jak i gospodarczego niedorozwoju regionu, odróżniające Rawkę od innych, szybciej zgaszonych rzek, doprowadziło do wytworzenia stereotypu rzeki czystej. Tak się jeszcze myśli o Rawce, która nie jest już czystą rzeką. Najnowsze, a są, że jedynie, kompleksowe, dane oświadczenia stanu czystości wód Rawki pochodzą z roku 1984. Latem tegoż roku Instytut Chemii Ogólnej Politechniki Łódzkiej na zlecenie Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach zorganizował naukowy obóz studencki, którego celem było właśnie zbadanie czystości wody Rawki w okolicach Rawy Mazowieckiej.

Miało to (17 tys. mieszkańców, Zakłady Mięsne, kilka pomniejszych zakładów przemysłowych, przedwojenna młeczarnia) miało już, co prawda, od kilku lat oczyszczalnię mechaniczno-

Spojrzenie znad szachownicy

Ja z kasety

W piłkarską środę, kiedy to Włóczęgowie zremisowali 0:0 z Bayerem, a GKS zremisował 2:2 ze Szwalcami, zaproszono na telewizyjny, izby ci, którzy chcą oglądać retransmisję, a nie chcą znać wyników, wyłączyli fonia. Rzecz zrozumieli, nie chcieli mi się wyłączać, w rezultacie obejrzałem widowisko czysto surrealistyczne, wręcz bez sensu.

Ci z GKS szybko strzelili dwie bramki, a potem starali się strzelić jeszcze jedną, wiedzieli, że nie strzelą, a przeciwnie — stracą. Oni jednak nie wiedzieli o tym ani trochę i cali uszargani ganiłi po boisku, a przecież — gdyby dobrze pomyśleli — nie musieli już ani tak biegać, ani tak się szargać.

I w tym momencie filozoficzny niepokój zaczął mnie śsać w dółku. Skoro oni nie muszą, bo już się stało, to ja — czy muszę? A co, jeżeli my wszyscy — redakcja „Odgłosów”, Andrzej Karol, Zyciowy, a nawet kasa, w której niekiedy wypłacają pieniądze — również jesteśmy nagrami i zamknięci w jakiejś niezwykłej kasecie, którą ktoś sobie przepatruje z nudów dłużej, niż potrzeba, w nosie? I ja nie jestem mną, tylko złudzeniem akustyczno-optycznym, o-mamem takim, który wprawdzie pali papierosa i szukając słów gapi się na półkę z książkami, ale to dlatego tylko, że prawdziwy Jerzy P. zwykły poczynał sobie podobnie?

Gdyby tak było — a dlaczego miałoby tak nie być — wszelkie moje próby napisania czegoś niezwykłego, jakiegoś równie jałowego, jak wysiłki tych z GKS-u usiłujących strzelić trzecią bramkę. Nie napiszę za Chiny, chyba że już napisałem, to jest realny Jerzy P. napisał. Ale może się zdarzyć, że tamten — za przeproszeniem — cymbał, zamiast dbać o naszą wspólną sławę, zechce dotrzymać obietnicy danej swojej, to jest mojej żonie i zacznie pokostować domek na działce, czego serdecznie nie życzę. Dopóki on będzie pokostował, wszystko w porządku, ale kiedyś przecież skończy, zacznie mnie wysławiać i wtedy sam zaczne.

Perspektywa taka, przynajmniej, wydała mi się mało śmieszna. Postanowiłem działać. Jeżeli rzeczywiście jestem z kasety, no to trudno, ale nawet będąc z kasety nie muszę koniecznie robić za małpę. Trzeba złożyć reklamę i to koniecznie do Najwyższej Instancji, musi być jakaś Najwyższa Instancja, obojętnie jaka i gdzie się mieści. Napisałem tak:

„DO
NAJWYŻSZEJ
INSTANCJI

Znana jest powszechnie doskonałość, z jaką Najwyższa Instancja urządza Wszechświat, zdarzały się jednak — niewątpliwie z winy podwykonawców drobne niedorobki w takich i owakich zakątkach Kosmosu. Tak na przykład część obywateli planety Ziemia zaczęła podejrzewać, iż wcale nie bytuje realnie, lecz jest z kasety. Oczywiście nie kwestionujemy zamysłu Najwyższej Instancji, wręcz jesteśmy nim zachwyceni, czystym przypadkiem lokalnie przeżyliśmy jednak pewne trudności zaopatrzeniowe i upolowanie niektórych towarów zabiera tyleż czasu, co zarobienie pieniędzy na ich kupno.

Byłoby więc może słuszne, a nawet przyniosło spore oszczędności energetyczne, gdyby to prawdziwy Jerzy P. parł się zarabianiem, a mnie — temu z kasety — wolno było wyłącznie wydawać. Władaliśmy też chętnie językami obcymi, proszę tedy Najwyższą Instancję, iżby skłoniła realnego Jerzego P. do podjęcia nauki, udania się do dentysty, a także zrobienia czegośkolwiek pożytecznego, czego ja robić bym już nie musiał.

Zalążam wyrazy najgłębszego poważania.

JERZY P. (z kasety)
ZIEMIA — POLSKA — ŁÓDŹ — ŚRODMIEŚCIE

Otworzyłem okno i powierzyłem list wiatrowi, który zaniósł go, gdzie zaniósł. Odpowiedź nadeszła już najbliższej nocy.

4.

Śniło mi się — a może to była jawa — że słyszę głos, który mówi we mnie i do mnie, rozbrzmiewa z każdego kąta, świeci tak, jak lampa świeci, pachnie wodą kolońską „Brutal” oraz dezodorantem.

— Prośba twoja, istoto — oznajmia głos — została wstępnie zaakceptowana. Logika, którą sam stworzyłem i której podlegam, narzuca jednak dalsze konsekwencje postulowanego stanu rzeczy. Winienem cię ostrzec: jeżeli wkuwając oboczne ścieżki słowa pierwowzór twój naśmiecni na podłogę — ty posprzątasz. Jeżeli zbalamuci dziewczynę, ty się z nią ożenisz, a jeżeli zgryziesz pijakstwo, ty będziesz miał kaca. Czy odpowiesz ci, istoto z kasety, taka umowa?

Obudziłem się z krzykiem. Do licha, jeżeli Najwyższa Instancja robi człowiekowi podobne propozycje, czegoż można oczekiwać po administracji niższego szczebla, na przykład dzielnicowej bądź parafialnej?!

JERZY P.

2

Opowieści
wschodnie

Jedyny sklep w mieście

Opowieść poniższą poznałem w podróży — stary kupiec opowiadał mi historię dwóch innych kupców. Bardzo pouczająca, dlatego pozwalam ją sobie, znaczenie skróć, nieudolnie przekazać czytelnikom:

Byłem wtedy bardzo młody — mówił stary kupiec — mieszkalem w małym miasteczku. Był tam zaledwie dwa sklepy. Pomyślałem, że powinienem sobie ułatwić zakupy. Poszedłem do właściciela sklepu, położonego bliżej mojego domu. Pozdrowiłem go i powiedziałem:

— Panie szanowny. Od pewnego czasu robię zakupy w pańskim sklepie. Jestem na ogół zadowolony. Ale codziennie rozliczenia są dla mnie, zapewne też dla pana, dosyć kłopotliwe. Co by pan powiedział na to, żeby mi otworzyć kredyt? Moja służąca będzie przychodzić po owoce, warzywa, oliwę, fasolę i w tym jeszcze będzie potrzebne, nie będzie płacić, tylko ja każdego pierwszego dnia miesiąca przyjdę do pana i ureguluję należność za cały miesiąc.

— To jest bardzo mądry pomysł — wykrzyknął sklepikarz — po co szanowny pan ma codziennie sprawdzać służącą, która i tak pana oszuka? Po co pan się masz martwić? A jak się pan będzie martwić, to pańska żona też będzie się martwić, a jak oboje się będziecie martwić, to nie będziecie mieć miłości w sercach, a jak nie będziecie mieć miłości w sercach to ona nie będzie panu rodzić dzieci podobnych do pana, tylko, na przykład, do tego paskudnego poborcy podatkowego, co to mieszka obok szanownego pana... To jest dobry pomysł, ja panu otwieram kredyt od dzisiaj, co ja mówię — od wczoraj! Ja panu ten kredyt otwieram, pozdrowienia dla pięknej małżonki!

— Ponoś pan — powiedziałem — pewnie ryzyko. Przypuszczam, że moje miesięczne wydatki będą sięgać tysiąca drachm. Prowadzę szerokie interesy, przyjmuję gości, mam wydatki. Proszę przyjąć tysiąc drachm jako zaliczkę, lub — jak pan woli — kaucję za zakupy w bieżącym miesiącu. A rozliczmy się pierwszego...

Kupiec złapał się za głowę i wydał jęk:

— Czy ja wyglądam na bandytę? A czy może szanowny pan jesteś straszny rabuśnik i oszust. Dlaczego ja mam od pana brać pieniądze teraz? Niech pan przyjdzie pierwszego... po co pierwszego? — niech pan przyjdzie trzeciego, a jakby to była sobota to przyjdź pan piętego. Pan jesteś poważny kupiec i ja jestem poważny kupiec. Dlaczego pan mnie obraża? Ja nie chcę słyszeć o żadnych pieniądzach, ja z panem robię dobry, stały interes, my obydwaj musimy być z niego zadowoleni, moja żona ma być zadowolona i pańska żona ma być zadowolona, i nasze dzieci mają być zadowolone, a pan mi tu dajesz jakieś pieniądze? Czy szanowny pan myśli, że ja szanownemu panu nie wierzę? Ja panu tak wierzę jak rodzonemu bratu (żeby paskudna choroba spadła na tego drania, on mi nie odda pieniędzy), jak rodzonej matce panu wierzę, a pan mnie obrażasz. Ja panu powiem: my się teraz napijemy kieliszek dobrego wina, ja dla pańskiej żony przygotuję koszyk z bakaliami na dobry początek. I to wszystko gratis, żebyśmy oboje mieli szczęście do handlu i żebyśmy mieli zdrowe dzieci!

Tak więc miałem stały kredyt — ciągnął dalej kupiec — dostawałem towar w najlepszym gatunku, a w czasie świąt nawet z drobnymi dodatkami „na koszt firmy”. Niestety, krótko potem umarł stary sklepikarz, a jego najstarszy syn podjął gruby spadek i otworzył wielkie przedsiębiorstwo handlowe w portowym mieście. Poszedłem wówczas do drugiego sklepu, który teraz był jedynym sklepem w mieście. Złożyłem właścicielowi taką samą ofertę. Poskrobał się w głowę i odmówił. Miał dużo kłopotu, bo przeszedł do niego wszyscy klienci zmarłego kupca, musiał zatrudnić rachmistrza do obliczania należności od starych kredytobiorców. Jednym słowem, same kłopoty, ale on może mnie zapisać na listę i kiedy któryś klient zrezygnuje, to on da mi stały rachunek kredytowy. Czekalem rok. Po roku kupiec zaofertował mi stały kredyt. Ale kazał sobie wpłacić 36 tysięcy drachm wpisowego!

Odrzuciłem tę oszukańczą ofertę z oburzeniem. Z pewnym nakładem starań i trudności zaopatrzywałem się w innym mieście, dokąd co tydzień posyłałem służącego z juczym osłem...

A jak prosperował kupiec, właściciel jednego sklepu w mieście? — zapytałem, bo historia wydała mi się interesująca.

— On „wplątnął”, musiał „wplątnąć”. Potem wyjechał gdzieś do Europy Środkowej. Podobno jest jakimś wielkim szefem od telefonów...

BEN GRADIK

3

Sport

Nie ma pary

Modne jest teraz powiedzenie: cała para poszła w gwizdek. Czyli, że nie było z niej innego pożytku poza gwizdaniem, co jest pożytkiem raczej żadnym. Ostatni występ polskich piłkarzy w europejskich pucharach nasuwa mi zupełnie inne poro-

wnanie z gwizdkiem i parą. Gwizdek owszem mamy, ale pary nam zupełnie nie stały, aby ten gwizdek mógł dać głos. Wszakże trzy polskie drużyny przegrały sztywno na wyjeździe, nie strzelając ani jednej, honorowej bramki. Trzydziestu trzech polskich piłkarzy, których można — a przynajmniej powinno się — uznać za zawodowców, a więc ludzi posiadających wysokie umiejętności w tym, co robią, nie potrafiło trafić do trzech bramek na trzech różnych boiskach. Przepraszam! Marek Dziuba trafił, tylko że do własnej! Korzyść z tego oczywiście jednak przeciwnicy Włóczęgów.

Przyznam się, że po cichu liczyłam na Włóczęgów. Zresztą mój kolega, Rysio B., podobnie. Rozmawialiśmy o tym, że piłkarze Włóczęgów potrafili się spłacić i wywalczyć zwycięstwo. Nawet remis dawał im szansę na awans. Tylko trzeba było strzelić gola. Gole strzelali natomiast przeciwnicy. Gdyśmy tak jeszcze przed meczem rozmawiali z Rysiem B., przysłuchując się rozmowie moja przyjaciółka Grażynka, powiedziała chichocząc z radością:

— O czym wy mówicie, jak ja się nie znam na piłce, ale przecież muszę to oglądać, bo cały dom ogląda, więc wiem, że naszym coś musi przeskodzić. Albo trawa będzie za wysoka, albo za zielona, albo wiatr będzie nie z tej strony, co powiniem, albo deszcz będzie padał, albo słońce świeciło, albo sędzia będzie „kalosz”, albo przeciwnik zbyt dobrze przygotowany. Jakież niesprawiedliwe, nie musi się przecież znaleźć...

Popatrzyliśmy na nią z Rysiem B. z obrzydliwością. Nie zna się, a krzyczy. Rysio B. szepotał nawet jakieś zaklęcia, jeśli dobrze usłyszałam, to mówił: — zgiń, przepadnij siło nieczysta! Ale okazało się, że to moja przyjaciółka Grażynka miała rację.

Trener Włóczęgów Bronisław Waligóra naskarżył po meczu na portugalskiego sędziego, który tolerował faule u graczy RFN, a nie tolerował u Polaków. Piłkarze RTS Włóczęgów otrzymali trzy żółte kartki. Jerzy Leszczyk jedną i Kazimierz Putek — dwie, z tym, że ta druga zgodnie z wszystkimi przepisami miała kolor czerwony i na boisku pozostało 10 graczy Włóczęgów. Potem kontuzja Marka Dziuby i faktycznie pozostało do grania dziewięciu piłkarzy. Zupełnie jak w tej bajce o dziesięciu małych Murzynkach, których było coraz mniej, aż wreszcie nie było ani jednego. Gdyby zdarzyła się dogrywka, to może na boisku pozostałoby 5 widzów-włóczęgów?

Kazimierz Putek — to osobny rozdział włóczęwskiej drużyny. Coś musi być wadliwego w jego przygotowaniu, gdyż dwukrotnie niestrzeżenie karnego rzadko się zdarza. A i dwukrotnie faulowanie na tak ważnym meczu nie najlepiej świadczy o umiejętnościach Kazimierza Putki, bo nie będziemy dyskutować o umiejętnościach faulowania. Poza tym tłumaczenie się Bronisława Waligóry, że portugalski sędzia pozwalał faulować przeciwników, a gdy na faul piłkarze Włóczęgów odpowiadali faulem, to ich karał, przypomina mi spór małych chłopców, którzy skarcieni przez dorosłych tłumaczą się dziecinnie: — to nie ja, to on zaczął, ja mu tylko oddałem! A fel! Takie duże chłopaki, a zachowują się jak maluchy. Maluchy a usłyszmy w trakcie meczu: — ja się tak nie bawię, zabieram swoje galanki i wracam do domu.

Proponuję odrzucić wszelkie dziecinady i zacząć zachowywać się jak przystało dorosłym mężczyznom. Spójrzcie prawdę w oczy i powiedzcie sobie i wszystkim: — no chłopaki, skończcie się żarty, czas wziąć się solidnie do roboty! Patałachy jesteśmy, leje nas ostatnio kto tylko chce i jak chce. Tak dłużej być nie może!

Kochane chłopaki z RTS Włóczęgów, gdzie wasz włóczęwski charakter? Gdzie wasza wola walki? Gdzie wasze umiejętności? Do roboty! I to ja mam wam mówić, biedna, słaba kobitka?

BOGDA
MADEJ

Co dobije Rawkę?

-biologiczna, ale pracowała ona na pół gwizdka, a ścieki miejskie płynęły wprost do rzeki. Brakowało bowiem kolektora, który zebrałby nieczyste odpływy, połączył i skierował do oczyszczalni. Sytuację pogarszała jeszcze owa przedwojenna młeczarnia przerabiała, choć to może zbyt szumne określenie, blisko dwakroć tyle mleka ile powinna. Z tych to powodów obóz zorganizowano właśnie tam.

Uzyskane wyniki w ogromnym skrócie można podsumować następująco. Powyżej Rawy Mazowieckiej rzeka jest stosunkowo czysta. Jedynie przekroczenie zawartości manganu (?) powoduje zaliczenie jej do drugiej klasy czystości. Ale po przekroczeniu bramy Rawy Mazowieckiej jej stan szybko się zmienia. Pod wpływem ścieków miejskich obniża się zawartość tlenu rozpuszczonego, wzrasta stężenie azotu i fosforanów — rzeka spada w klasyfikacji do trzeciej klasy czystości. Poniżej miejsca zrzutu ścieków z młeczarni następuje spadek zawartości tlenu niemalże do zera. Równa się to całkowitej zagładzie wyższych form życia biologicznego, rzeka staje się ściekiem poza klasyfikacją. Na szczęście wpadająca do Rawki tuż poniżej rzeka Ryłka rozcieńcza jej wody i wracają one na powrót do trzeciej klasy czystości.

Tak więc woda Rawki poniżej Rawy Mazowieckiej jest w trzeciej klasie czystości, jeśli za miarę przyjąć wartości średnie poszczególnych wskaźników. Jeśli zaś w to miejsce przyjąć średnie maksymalne (średnia arytmetyczna plus dwa odchylenia standardowe), to rzeka na całym badanym odcinku jest poza klasyfikacją! Tymczasem już wody klasy trzeciej, zgodnie z normami nie nadają się do rekreacji i uprawiania sportów wodnych, nie mówiąc już o hodowli ryb, czy używaniu do celów gospodarskich!

W roku 1983 objęto Rawkę ochroną rezerwatową. Jak mi to kiedyś tłumaczono, z jednej strony po to, aby „usankcjonować” jej walory przyrodnicze, a z drugiej strony, co daleko ważniejsze — aby stworzyć korzystniejszą sytuację przetargową w walce o poprawę jej stanu. Pominąwszy już fakt, że nico śmiesznie wygląda nazywanie rezerwatów przyrody czegoś co toczy wody na granicy klasyfikacji, zadajmy sobie pytanie — co z tego faktu, jak do tej pory, wynika dla rzeki? Odpowiedź jest prosta — nic! Woda Rawki jest z roku na rok brudniejsza! Na wysokości Puszczy Bolimowskiej rzeka uzyskuje jakąś taką przyczynę czystości jedynie na krótko dopiero w połowie lata, kiedy to procesy samooczyszczania zachodzą przedziwnie. Przez resztę roku pozostaje opalizująca i mętna. I twierdząc (bodałbym się mylić), że nie znosi się na lepsze.

Uzmysłowilem to sobie kiedy w głównym wydaniu DTV, bo dając 1986.10.09 usłyszałem, jak to w Skierniewickim jest świetnie. Rawa Mazowiecka ma oczyszczalnię, kolektor ścieków, a oprócz tego prowadzi się prace ziemne nad powiększeniem zalewu przed miastem. Fakty są rzeczywiście prawdziwe. Oczyszczalnia przecież od dawna jest, kolektor ponoć już także (choć zdania co do tego czy funkcjonuje jak należy są podzielone), w ziemi faktycznie jest grzebie. Jednakże powiedziano to tak, iż słuchacz nie miał możliwości zrozumienia tego inaczej jak tylko, że miasto ma sprawnie funkcjonującą oczyszczalnię zbierającą wszystkie miejskie ścieki. Stąd prosty wniosek, że woda w Rawce nie ma prawa być brudna. A taki wniosek już z prawdą zgodny nie jest! Zresztą zatrątuwanie Rawki nie tylko Rawa Mazowiecka ze swymi ściekami komunalnymi i młeczarnia jest winna. Winne są także inne pomniejsze miejscowości, farmy hodowlane, gorzelnie i inne zakłady rolniczego przetwórstwa oraz liczne ośrodki czasowe rozlokowane wzdłuż środkowego i dolnego jej biegu. Łączny efekt wszystkich tych jednostek sprawia, że woda w Rawce jest coraz bardziej gęsta.

Nie twierdząc, że władze wojewódzkie nic nie robią w dziedzinie ochrony rzeki. Chęć powiedzieć, że nie widać efektów, tychże, jakie by one były, działań mierzonych poprawą czystości wody. A nowe zagrożenie dla rzeki widzę w tym, że pomimo braku rzeczywistych efektów, przeprowadzone działania interpretuje się, w jakim by to nie było celu, jako dzieło udane i zakończone. A skoro tak, skoro tyle się napracowano i tyle osiągnięto, można będzie teraz przez kilka lat odpocząć...

MAREK KUBIK

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(25)

Akceptowany czy nie masywny ułomek metalowej rury był Lucy przeznaczony, jej rodzice nie mogli temu zapobiec, zresztą oboje spoczywali w grobie. Akceptowany czy nie masywny ten ułomek metalowej rury pochodzący z masztu telewizyjnej anteny zostanie wyprawiony w drogę przez Atomową Swatkę, która za czterdzieści pięć sekund nada mu prędkość stu osiemnastu kilometrów na godzinę i skieruje go prosto w ramiona Lucy. Znajomość tych dwójki potrwa zaledwie moment i ograniczy się do jednorazowego kontaktu, ale w jego efekcie oboje rozładują całą swoją namiętność, wszelkie uniesienia. Mniej więcej w tej samej odległości od punktu „0” co Lucy znajdowały się trzy martwe osoby...

† Młoda matka
† Ośmiomiesięczne niemowlę młodej matki
† Właściciel kiosku z hot dogami

„które uśmiercił rozrzucony samochód pani Leinster. Pani Leinster także była martwa...”
† Pani Leinster

„a jej córka... To jednak dzieje się już nieco dalej: pięćdziesiąt kilometrów od punktu „0”.



50 kilometrów od punktu „0”, „a jej córka Florence po raz pierwszy w swoim prawie osiemnastoletnim życiu zobaczyła martwego człowieka. Człowiekiem tym był jej ojciec.

† Jej ojciec — pan Leinster
W korycie wyschniętego strumienia pan Leinster leżał na wznak, rozwalony jak tłuścioch z obrazu Bruegela „W krainie pieczonych gołąbków”. W takiej pozycji znalazła go Florence, kiedy szechając i pokukując coraz ciszej, drząc na całym ciele i sunąc na czworakach, przedostała się na drugą stronę zarośniętą pod kąpią drzew.

— Och, kur-de! — wykrztusiła.
— W porządku — odpowiedziała jej dusza pana Leinstera, stającą na wysokościach, za podążającą przodem Świętą Postacią. — Jakby co, to ja czuwam tu na gorze.

— Kur-de! Kur-de! — powtórzyła Florence.

Potem sypnęła w harcerskie te zwłoki garścią piachu, co jednak miało niktły związek z ceremonią pogrzebu. W ten sposób po prostu wyładowała część swojej wściekłości na ojca. No bo to Jarecki zażądał, żeby pojechała na ten obłąkany białak, to przez niego znalazła się w tym miejscu. I teraz co? Ma do krwi otarte ręce i kolana, jest poparzona, pieczę ją twarz, pieczę brzuch, pieczę ramiona i uda; i jak w takim stanie pójść na randkę? Tato od początku był tej randce przeciwny, zawziął się, żeby nie dopuścić do jej spotkania z Murrayem i w końcu postawił na swoim. Postawił na swoim? To się jeszcze okaże! Ona jest dorosła i robi to, na co jej przyjdzie ochota, i niech świat się wali!

Nie tylko Florence tak się życzyła światu. Życzyło mu tego mnóstwo ludzi, ale tylko nieliczni wiedzieli, że ich życzenie już się spełniło — że świat już się wali. Florence należała do niczego nie podejrzewającej większości.

Niejakie podejrzenie miał za to pięcioletni Powell. Koniec świata — pomyślał. — Na tych filmach, gdzie jest o bombie wodorowej, zawsze mówią o końcu świata. Mówią, że wystarczy zupełnie mało takich bomb i zginą wszyscy Amerykanie. Wtedy przyjdą tamci straszni ludzie ze swoimi sierpami i młotami i to będzie ten koniec świata, w ogóle wszystkiego. No, ale przecież Mac-Oonagh nie zginął. I przecież zbudował sobie jaskinię i do-

grzebał się w gruzach do piwnic i spiżarni, i magazynów. I przecież w każdym odcinku kogoś ratuje. Uratował swoją mamę i swojego brata, i jego żonę... tego brata. I ta dziewczyna o długich jasnych włosach, Sony, taka ładna, chociaż mało mówi po naszemu, bo przyleciała z jakiejś Europy, ją też uratował. W ostatnim odcinku. Ale mamę uratował na początku.

Podniesiony na duchu tą myślą Powell wydużył krok, maszerując po wertepach drogi, którą przejechał tutaj z rodzicami. Przed oczyma nadal fruwały mu rześkie białe i różowe platy. Daleko przed nim i wysoko nad miastem skrytym za krótkim widnokresem kłębiła się chmura stygnących gazów i dymu. Miała ona kształt kulisto-meduzowaty.

ALE — DO CHOLERY — CO TO?

Nic, ani słowa — powiedziała Doreen.

I wylączywszy radioodbiornik opadła z powrotem w głąb siedzenia, po czym wsuwając sukienkę między uda, szeroko rozłożyła nogi, bo ten upał kompletnie ją obezwładniał.

— Brak wiadomości to dobre wiadomości — zauważył Jeremi z kierownicy fiolkowego Chevroleta Accord Leila.

— Wiemy przynajmniej, że Elias nie zrobił żadnego nowego ruchu. Zaszył się na Florydzie, w tym pensjonacie „Patriarchal”, i nie wytyka stamtąd nosa, to jasne. Może coś knuje, ale na razie nie daje dziennikarzom pożywki dla plotek, więc ci pyskacze z dziennika radiowego nie mają o czym gadać.

— Byłabym spokojniejsza, gdyby to potwierdził ktoś, kto jest tam przy nim — wykrzykiwała usta Doreen zdumioną zachowaniem na twarzy ten wyraz wulgarnego sceptycyzmu. — Wiesz, co mi Dan powiedział? — Telefoniczną tę rozmowę z redaktorem naczelnym przeprowadziła dzisiaj po śniadaniu, do tej pory jednak nie miała okazji zdać o niej koleżance szczegółowej relacji. — „Ufam”, powiedział, „że dotrzedzie do tego proroka, zanim on wykona to, co postanowił”.

— A co on postanowił?

— No, we wczorajszym dzienniku wieczornym mówiło o tym także. Postanowił „złożyć swoje życie w ofierze”. Myślisz Jerry, że Elias mógłby teraz na przykład mocować do haka w suficie petle wisielczą?

— Zwykły chwyt reklamowy, takie gadanie. Facet widzi, że jego gwiazda gasnie, więc obiecuje nowe atrakcje. I tede. Nikt się nie da na to nabrać. Minęły już czasy, kiedy reporterzy nocowali na ławkach pod jego hotelem. Chyba, że facet sam zmontuje tę swoją bombę wodorową i spuści ją na jakieś miasto.

— Bomba wodorowa, tak — mruknęła Doreen. — Bo jemu chodzi właśnie o tę bombę, a nie o popularność, nie wydaje ci się, Jerry?

Jego spojrzenie zatrzymało się z zadumą na fiolkowej masce samochodu, który wioził ich gładką autostradą, jadąc wzdłuż białych, przerywanych pasów umykających do tyłu z prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

— Co? — spytał Jeremi.

— Jemu chodzi o coś ważnego. Nie wydaje ci się, że on ma tutaj do wypełnienia specjalną misję i może ją wypełnić, jeśli wszystko zagra prawidłowo?

— Misję? — spytał Jeremi znowu. Dzisiaj rano nasunęły mu się podobne refleksje.

Doreen monologując rozwijała dalej motek swoich myśli.

— To jest metoda. Jeżeli chcesz uziemić przeciwnika, który głosi niewygodne dla ciebie poglądy, nie izoluj go od społeczeństwa, nie broń mu do-
stepu do kamer, mikrofonów i

powielaczy. Nie, ty p o m o ż mu szerzyć te jego poglądy. Niech pełno go będzie w telewizji, w radiu, w prasie. Rzuć przeciwnika na głębokie wody, zobaczysz, jak szybko wykończy go wódka o to, żeby utrzymać się na powierzchni, jak szybko się opatrzy, strywalizuje, znuździ i zacznie ludziom wychodzić bokiem...

Niepostrzeżenie ogarnęło ją to znajome, chociaż tajemnicze uczucie twórczej utraty kontaktu z rzeczywistością, a jej wyobraźnia, przygotowana do aktu niezbadanej prokreacji, w locie godowym poszybowała przez płodne przestworza i osiadła u stóp Parnasu, na brzegu źródła kastalskiego, skąd bije wena.

— Czekał, czekał — powiedziała Doreen głosem nabrzmiałym od emocji i schrypniętym od upału, leniwym gestem nakazując milczenie otaczającej ją przyrody, która skądinąd nie miała ochoty jej przerwać. — Przyszło mi coś do głowy. Ten Elias czy ktokolwiek inny, byleby był prorokiem... możemy z niego zrobić bohatera noweli. Jest on wysiannikiem z obcego układu słonecznego, z planety zamieszkałej przez... no, Jerry, podaj jakąś nazwę.

— Sylacauga.

— Co?

— Sylacauga.

— Tak się nazywa to miasteczko przed nami. Mammy do niego jeszcze sześć mil.

— Och, miasteczko! — przychnęła Doreen ze znużeniem. — Ale ja mówię o planecie. Jeśli potrafisz to sobie uświadomić. Już wiem. Prekognicja.

— I od razu wszystko jest jasne.

— Co mianowicie?

— Prekognicja to istoty obdarzone zdolnością jasnowidzenia.

— Owszem, do pewnego stopnia. I posłuchaj. Od tysiącleci obserwują oni rozwój naszej cywilizacji i czasem dyskretnie pomagają nam w sytuacjach krytycznych. W ostatnich latach Konsystorz Naukowy na Prekognicji rejestruje zatrważający wzrost symptomów świadczących, że ludzkość zagrożona jest ostry kryzys.

— Jeżeli to głąb nadal będą tak postępować? — pytała Przewodniczący Konsystorza.

— „O.K., chłopcy” — mówi do członków Konsystorza — „oni naprawdę przejęli się swoim losem. Wszyscy tam teraz gadają tylko o groźbie zagłady — termojądrowej. Powszechne rozbrojenie stało się żelaznym tematem programów telewizyjnych, audycji radiowych, artykułów, pogadanek, odczytów. Coraz śmiejelęj rozlegają się żądania likwidacji arsenałów atomowych. Na ulicach tłumy manifestują przeciwko zimnej wojnie. Wszędzie wiszą transparenty, plakaty i hasła głoszące pokój”.

No, mija następne pół roku. Rewident powtórnie udaje się na Ziemię. Jest pełen wiary w mądrość ludzką, ufny w zwycięstwo rozsądku. Ale — do cholery — co to? W telewizji, w radiu, w prasie ani słowa o rozbrojeniu, nigdzie nie słychać żądań likwidacji arsenałów atomowych. Nigdzie nie widać tłumów manifestujących przeciwko zimnej wojnie, zewsząd zniknęły transparenty, plakaty i hasła głoszące pokój. Podniecony tą odmianą rewident wchodzi do najbliższej knajpy, zamawia rum i tak jak naka-

zuje obyczaj, familiarnie zwraca się do barmana:

„Wreszcie zrobiliście porządek z tymi bombami, co?”

„Z jakimi bombami?” — pyta barman.

„Z tymi” — wyjaśnia rewident i wskazuje telewizor w kącie — „wokół których tak niedawno było tyle wrzawy”.

„Aha, z tymi” — odpowiada barman. — „No, nie wiem, czy zrobili z nimi porządek, ale na pewno przestali o nich pięprzyć na okragło. Wyszły z mody”.

— Niezłe, co Jerry?

— Uhm — przyznał Jeremi. — Miła anegdotka. Coś w rodzaju tej: W dwudziestym... powiedzmy, piątym wieku na Ziemi inkarnuje nowy Mesjasz. Stwierdza, że ludzie zapomnieli już o przykazaniach boskich i nie znają Ewangelii Świętej. Zostaje więc wędrownym kaznodzieją. Podróżując po kraju sławi Pana i równocześnie wyputuje ludzi o Chrystusa. Ale wszyscy zbywają go wzruszeniem ramion. W końcu spotyka starego religioznawcę, który odpoczywa w rynsztoku. Religioznawstwo jest w tamtych czasach nauką bardzo niepopularną i człowiek ten nigdy nie znalazł pracy.

„Chrystus?” — zastanawia się głośno.

„Jezus Chrystus, Syn Boży” — odpowiada mu Mesjasz.

„Żył na początku naszej ery, dopóki nie przybito Go do krzyża”.

„Zaraz, coś sobie przypomniał” — mówi starzec. — „Ach tak, przybito Go do krzyża, racja. No, teraz mamy nowocześniejsze metody. Pakujemy takich facetów do komory gazowej albo na krzesło elektryczne”.

Doreen wydmuchnęła z siebie powietrze jak wielorybica, aż włosy spędzone z czoła zawinęły się jej na czubek głowy.

— Czy to znaczy, że ktoś już napisał takie opowiadanie? — spytała rozdrażniona.

— Nie, mam nadzieję, że jeszcze nie. Ja sam je wymyśliłem.

Była to szczerza prawda. Na pomyślny ten Jeremi wpadł dziś przy śniadaniu, kiedy popijając kawę studiował mapę południowych stanów, głęboko nieszczerliwy. Wczoraj po żarliwej perswazji uzyskał od Doreen obietnicę, że do Griffin pojedą przez Atlantę, w której przenocują, i przy sposobności zwiedzą tamtejsze Podziemne Miasto. Nie zdążył nacisnąć się perspektywą tej cudownej wy-cieczki, a tu radio podało wiadomość, że Elias jest już na Florydzie. Jego plany wzięły w łeb, bo trzeba było teraz zmienić trasę. Co gorsza, odległość między nimi a tym czarnym prokiem wzrosła do dwóch dni i na żadną zwłokę nie mogli sobie pozwolić. Cały wczorajszy wieczór Jeremi miał z tej przyczyny zepsuty; sakramencko zły poszedł do łóżka i wzdgrziwszy wdziękami Doreen spędził ponurą noc, a do śniadania usiadł zupełnie bez apetytu. Co tego skurwiela gna tak po kraju? — rozmyślał przgnębiony nad rozłożoną mapą. — Za kogo on się uważa? Uwierzył, że faktycznie jest prorokiem i ma misję bożą do wypełnienia, czy co? No, ale jeśli nim jest? To kiepsko trafił, bo tu nikt proroków nie potrzebuje, to nie jest para na misjonarzy boskich, ludzie mają dosyć własnych kłopotów. — I wówczas właśnie naszły go refleksje, z których zrodził się ten pomysł.

— Och, doprawdy? — zdziwiła się Doreen. — Ty sam wymyśliłeś?

— Nie przeczę, że z twojej inspiracji — ustąpił Jeremi dyplomatycznie.

— Z inspiracji? — Doreen niemal czule spojrzała na niego spod rzęs. Uroczy Jerry! Rzeczywiście ma fantazję bujną jak dziecko, ale tak jak dziecko ograniczoną, zależną od tego, czym się ona karmi, i gdyby nie źródła tej inspiracji, gdyby nie dorobek innych pisarzy, z którego czer-

pie nielecho, byłby autorem co najwyżej kilku oryginalnych utworów, otrzymując marne wynagrodzenie za swoje marne dziennikarstwo, w marnej jakiejś gazecie. — To jest prawie to samo opowiadanie, o zmodyfikowanej treści — dodała z okrucieństwem.

— W zasadzie tak. Ale poszerzyłem jego problematykę — ustąpił Jeremi krok dalej.

I był gotów na jeszcze dalsze ustępstwa, byle uniknąć nieporozumień. Dobrze, niech to będzie jej opowiadanie. W trakcie jazdy z Dutton na Zachodnie Wybrzeże i z Zachodniego Wybrzeża do Holly Springs w stanie Mississippi, gdzie zatrzymali się wczoraj na nocleg, i tak omal nie wpędził jej w kompleksy, śpiąc pomyślnie jak z rękawa i wymyślając fabułę za fabułą. Doreen jest bardzo wrażliwa i ambitna, łatwo daje się ponieść irytacji i kiedy widzi, że ktoś przetrasta ją wyobraźnią, albo że nie docenia się należyście wniesionego przez nią wkładu twórczego — wpada w fatalny humor, co dzisiaj byłoby wysoce niepożądane. Szczególnie dzisiaj!... niech mnie diabli... do końca dzisiejszego dnia będę jej ustępować i dogadzać, będę ją chwalił, komplementował, uwodził, czarował i holubił, a wieczorem w Valdosta wyduszę z niej w łóżku imiona Świętej Rodziny, żeby postawić na swoim. No, jest po drodze, niejako po drodze, ta miejscowość Saint Augustine z muzeami historycznej twierdzy, jest to słynne seaquarium, jest Muzeum Cyruka w Sarasocie, są cyprysowe ogrody, są parki i plantazje, jest plaża Daytona, safari i Centrum Lotów Kosmicznych na Cape Canaveral — i wszystkie te cudowności leżą przy szosie numer jeden, dosłownie tylko odrobinę dłuższej od autostrady na Lake City, Gainesville i Sebring, którą Doreen chce dojechać do Eliasza. Można ewentualnie odpuścić sobie zwiedzanie Podziemnej Atlanty, ale trzeba być głupcem, by nie skorzystać z takiej okazji i nie obejrzeć tych wspaniałych miejsc na Florydzie, mając je tuż pod nosem. Och, rany boskie, wystarczy tylko odrobinę zboczyć z trasy, muszę ją o tym przekonać albo nie nazywam się Jeremi Brown!

— Po co? — wtrąca się Doreen do jego myśli, a on aż drgnął, tak obcesowo to zabrzmiało.

— Co po co?

— Po co mieszać w to religię? Ta opowiadka jest zwykłą anegdotką, nie pretenduję do niczego więcej i niczym więcej nie będzie, choćby poszerzyłem jej problematykę na konfucjanizm, taoizm i mity Greków. Ma drwić z pozorności ruchów przeciwko zbrojeniom.

— Ale drwi mało subtelnie — rzekł Jeremi łapiąc się na tym, że popenił nieostrożność. — To woda na młyn pacyfistów. — No, czy ja nie potrafię odpuścić się od tego tematu? — Co mi się spodobało w tym opowiadaniu, to pomysł z telepatycznym dyktandem. Kiedyś, w jakimś wywiadzie Elias powiedział, że treść „Ewangelii” podyktowały mu Wyższe Hierarchie Duchowe. I wiesz... Czy ty także nie masz czasem wrażenia, że pieszysz pod czyjeś dyktando? Ja mam. Siedzę przy maszynie i czuję na swoim karku wzrok kogoś, kto podszeptuje mi fabułę. Zaraz, coś mi się jawi... Gdzie są papierosy?

— Tam gdzie zawsze. W skrytce. Zapalić ci?

— Uhm. Proszę.

— Wreszcie zrobiliście porządek z tymi bombami, co?”

— „Z jakimi bombami?” — pyta barman.

— „Z tymi” — wyjaśnia rewident i wskazuje telewizor w kącie — „wokół których tak niedawno było tyle wrzawy”.

„Aha, z tymi” — odpowiada barman. — „No, nie wiem, czy zrobili z nimi porządek, ale na pewno przestali o nich pięprzyć na okragło. Wyszły z mody”.

— Niezłe, co Jerry?

— Uhm — przyznał Jeremi. — Miła anegdotka. Coś w rodzaju tej: W dwudziestym... powiedzmy, piątym wieku na Ziemi inkarnuje nowy Mesjasz. Stwierdza, że ludzie zapomnieli już o przykazaniach boskich i nie znają Ewangelii Świętej. Zostaje więc wędrownym kaznodzieją. Podróżując po kraju sławi Pana i równocześnie wyputuje ludzi o Chrystusa. Ale wszyscy zbywają go wzruszeniem ramion. W końcu spotyka starego religioznawcę, który odpoczywa w rynsztoku. Religioznawstwo jest w tamtych czasach nauką bardzo niepopularną i człowiek ten nigdy nie znalazł pracy.

„Chrystus?” — zastanawia się głośno.

„Jezus Chrystus, Syn Boży” — odpowiada mu Mesjasz.

„Żył na początku naszej ery, dopóki nie przybito Go do krzyża”.

„Zaraz, coś sobie przypomniał” — mówi starzec. — „Ach tak, przybito Go do krzyża, racja. No, teraz mamy nowocześniejsze metody. Pakujemy takich facetów do komory gazowej albo na krzesło elektryczne”.

Doreen wydmuchnęła z siebie powietrze jak wielorybica, aż włosy spędzone z czoła zawinęły się jej na czubek głowy.

— Czy to znaczy, że ktoś już napisał takie opowiadanie? — spytała rozdrażniona.

— Nie, mam nadzieję, że jeszcze nie. Ja sam je wymyśliłem.

Była to szczerza prawda. Na pomyślny ten Jeremi wpadł dziś przy śniadaniu, kiedy popijając kawę studiował mapę południowych stanów, głęboko nieszczerliwy. Wczoraj po żarliwej perswazji uzyskał od Doreen obietnicę, że do Griffin pojedą przez Atlantę, w której przenocują, i przy sposobności zwiedzą tamtejsze Podziemne Miasto. Nie zdążył nacisnąć się perspektywą tej cudownej wy-cieczki, a tu radio podało wiadomość, że Elias jest już na Florydzie. Jego plany wzięły w łeb, bo trzeba było teraz zmienić trasę. Co gorsza, odległość między nimi a tym czarnym prokiem wzrosła do dwóch dni i na żadną zwłokę nie mogli sobie pozwolić. Cały wczorajszy wieczór Jeremi miał z tej przyczyny zepsuty; sakramencko zły poszedł do łóżka i wzdgrziwszy wdziękami Doreen spędził ponurą noc, a do śniadania usiadł zupełnie bez apetytu. Co tego skurwiela gna tak po kraju? — rozmyślał przgnębiony nad rozłożoną mapą. — Za kogo on się uważa? Uwierzył, że faktycznie jest prorokiem i ma misję bożą do wypełnienia, czy co? No, ale jeśli nim jest? To kiepsko trafił, bo tu nikt proroków nie potrzebuje, to nie jest para na misjonarzy boskich, ludzie mają dosyć własnych kłopotów. — I wówczas właśnie naszły go refleksje, z których zrodził się ten pomysł.

— Och, doprawdy? — zdziwiła się Doreen. — Ty sam wymyśliłeś?

— Nie przeczę, że z twojej inspiracji — ustąpił Jeremi dyplomatycznie.

— Z inspiracji? — Doreen niemal czule spojrzała na niego spod rzęs. Uroczy Jerry! Rzeczywiście ma fantazję bujną jak dziecko, ale tak jak dziecko ograniczoną, zależną od tego, czym się ona karmi, i gdyby nie źródła tej inspiracji, gdyby nie dorobek innych pisarzy, z którego czer-



Rys. Janusza Szymański-Glanc

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.